NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 247·— Marek, Półrocznie 494·— Mk. Rocznie 898·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 20 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 28. maja 1921. Nr. 22.

Święto 29 pułku piechoty w Kaliszu



Powitanie Naczelnika Państwa przy bramie tryumfalnej

Fot. W. Wawrzyniak, Kalisz).

Od wydawnictwa.

Podwyższając nieznacznie prenumeratę z początkiem bieżącego kwartału, żywiliśmy nadzieję, że wkrótce nastąpi ogólny spadek cen, a co za tem idzie, że wszelka egzystencya stanie się łatwiejsza, tem samem również i nasze pismo będzie mogło współzawodniczyć z zagranicznemi cenami. Ostatnie podwyższenie robocizny drukarskiej i w zakładach cynkograficznych, nadto wzmagające się z dniem każdym trudności w nabywaniu papieru i innych artykułów niezbędnych do tak kosztownego wydawnictwa jak „Nowości Illustrowane", zmusza nas ponownie do minimalnej podwyżki — która aczkolwiek nie pokrywa w zupełności kosztów wydawnictwa, jednakowoż pozwoli nam stanąć do dalszej walki z trudnościami i umożliwi nadal wydawanie pisma, które od lat 18-tu zaznajamia polską Publiczność z najważniejszymi wypadkami dnia, służąc w ostatnich czasach przeważnie interesom Ojczyzny, armii i polskiego społeczeństwa.

Obecnie prenumerata wynosi:

Kwartalnie . . . 247·— Mkp.
Półrocznie . . . 494·— „
Rocznie . . . . 988·— „

Pojedynczy egzemplarz **Mkp. 20.**

Święto 29 pułku p. w Kaliszu.

W niedzielę 15 maja b. r. o godzinie 10 rano nadzwyczajnym pociągiem przybył do Kalisza Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, aby zaszczycić swą obecnością uroczystość 29 pułku piechoty, rekrutującego się z Ziemi kaliskiej, wsławionego bohaterskiemi walkami pod Warszawą i na froncie wschodnim.

Na dworcu oczekiwali Naczelnika Państwa: jen. Rozwadowski, dowódca O. G. Łódź, jen. Rządkowski, dowódca O. G. Poznań, jen. Raszewski, członek misyi francuskiej jen. Mercier z kilku oficerami francuskimi, kompania honorowa 29 p. p., liczne grono wyższych oficerów, starosta kaliski inż. Rembowski, wreszcie komitet obywatelski, organizujący uroczystość.



Święto 29 pułku p. w Kaliszu: Naczelnik Państwa podczas przeglądu wojsk na Błoniach Tynieckich.

Gdy pociąg wiozący Naczelnika Państwa, zajechał na dworzec, orkiestra odegrała Hymn narodowy. Pierwszy powitał Naczelnika Państwa dowódca O. G. łódzkiego jen. Rządkowski, następnie starosta, który przedstawił Naczelnikowi członków komitetu obywatelskiego. Po przejściu przed frontem kompanii honorowej i przyjęciu defilady Naczelnik Państwa witany owacyjnymi okrzykami przez tysiączne tłumy wyszedł przed dworzec i wsiadł do powozu. Eskortę stanowił szwadron 25 p. ułanów. W następnych powozach zajęli miejsca wymienieni wyżej dostojnicy, przybyli na powitanie Dostojnego Gościa, dalej jen. Żeligowski, jako dowódca 10 dywizyi, w skład której wchodzi 29 pułk piechoty, były minister skarbu Olszewski, biskup polowy ks. Gall, prezydent miasta Warszawy Drzewiecki, adjutant jeneralny podpułk. Wieniawa-Długoszewski i inni.

U starej rogatki pod bramą tryumfalną powitały Naczelnika Państwa liczne deputacye, straż ogniowa z orkiestrą, konna banderya włościan i tłumy publiczności. Mowę powitalną wygłosił tu prezydent miasta Kalisza Koszutski.



Święto 29 pułku p. w Kaliszu: Jeneralicya i korpus oficerski podczas mszy polowej. Od lewej ku prawej: jenerałowie Rozwadowski, Żeligowski, Olszewski, Rządkowski i Raszewski.

Pięknie udekorowanemi ulicami odbudowującego się miasta udał się Naczelnik Państwa do gmachu starostwa, skąd wkrótce wyjechał na Błonia Tynieckie. Tu przed ołtarzem ustawiły się w szeregu batalion 29 p. p., szwadron 25 p. ul., baterya ciężkiej artyleryi, banderya włościan i oddział harcerzy. Mszę św. odprawił ks. Gall, który też wygłosił okolicznościowe przemówienie, poczem nastąpiła uroczystość poświęcenia sztandaru 29 p. p. ufundowanego przez miasto i ziemię kaliską oraz przez komitet pań warszawskich w uznaniu zasług położonych przez pułk kaliski w obronie stolicy na polach radzymińskich. Naczelnik Państwa udekorował krzyżem „Virtuti militari" i walecznych kilkudziesięciu oficerów i szeregowych 29 p. p. i 25 p. uł. Uroczystość zakończyła świetna defilada załogi, harcerzy i banderyi włościańskiej przed Naczelnikiem Państwa, jeneralicyą i nowomianowanymi kawalerami krzyżów „Virtuti militari" i „Walecznych".

Z Błoń udał się Naczelnik Państwa wraz ze świtą do gmachu gimnazyum miejskiego, gdzie odbyła się uroczystość poświęcenia tablicy pamiątkowej ku czci poległych w obronie Ojczyzny ochotników, uczniów tegoż gimnazyum.

O godz. 2 popołudniu komitet obywatelski podejmował Naczelnika Państwa w gmachu Stowarzyszenia rzemieślników chrześciańskich bankietem. Do stołu zasiedli wszyscy towarzyszący Naczelnikowi Państwa a nadto przybyły z Poznania starosta poznański Wyczyński. Pierwszy przemówił prezes Rady miasta Kalisza pastor Wende, jak następuje:





Święto 29 pułku p. w Kaliszu: Powitanie Naczelnika Państwa przez dzieci kaliskie.

Dostojny Panie Naczelniku!

Niech mi wolno będzie w imieniu mieszkańców Kalisza i Ziemi kaliskiej wypowiedzieć słów kilka najserdeczniejszego powitania, najgłębszego hołdu, jaki złożyć pragniemy pierwszemu Naczelnikowi Zjednoczonej Ojczyzny.

Dzień, w którym możemy witać w naszem mieście tak Dostojnego Gościa jest dla nas wielkiem, uroczystem świętem. Gdy chcieć znaleźć w historyi kaliskiej dzień równie radosny, trzebaby sięgnąć w odległą przeszłość. Kroniki naszego miasta zanotowały, że kiedyś był taki dzień, ale w pamięci i w świadomości naszej wspomnienia te zatarły się. To też z całym entuzyazmem ludzi, którzy dzień ten widzą własnemi oczyma, o czem pokolenia marzyły i do czego tęskniły, witamy Ciebie, Dostojny Gościu i radujemy się z całej duszy, że takich czasów dożyliśmy, że tak wielką chwilę przeżywamy.

Mieszkańcy Kalisza, tak srodze przez losy wojny nawiedzonego, witają w Tobie męża, któremu Opatrzność poruczyła najpiękniejszy, najcenniejszy trud odbudowania całego kraju, nietylko setek zburzonych miast i wsi, ale odbudowania Polski. Historya oceni należycie tę w istocie bohaterską pracę, jaką podjąłeś z całem poświęceniem i z całem zaparciem się siebie, w warunkach nad wszelki wyraz ciężkich, a jaką dziś, dzięki łasce Bożej, w znacznym stopniu wykonałeś, walcząc zwycięsko na wielu, wielu ofiarną krwią bohaterów zroszonych pobojowiskach i głosząc hasła nieustannie pokojowej pracy tu w kraju. Historya to wszystko należycie podkreśli, a poezya ozłoci. Ale my wiemy i nigdy Tobie Wielki Synu tej ziemi nie zapomnimy, żeś Ty Polskę, gdy jej na karcie Europy nie było, budował już w sercach naszych, gdyś niezłomnie wierzył w to, czego nie było i święty ogień tej wiary słowem i czynem wzniecał w sercach!



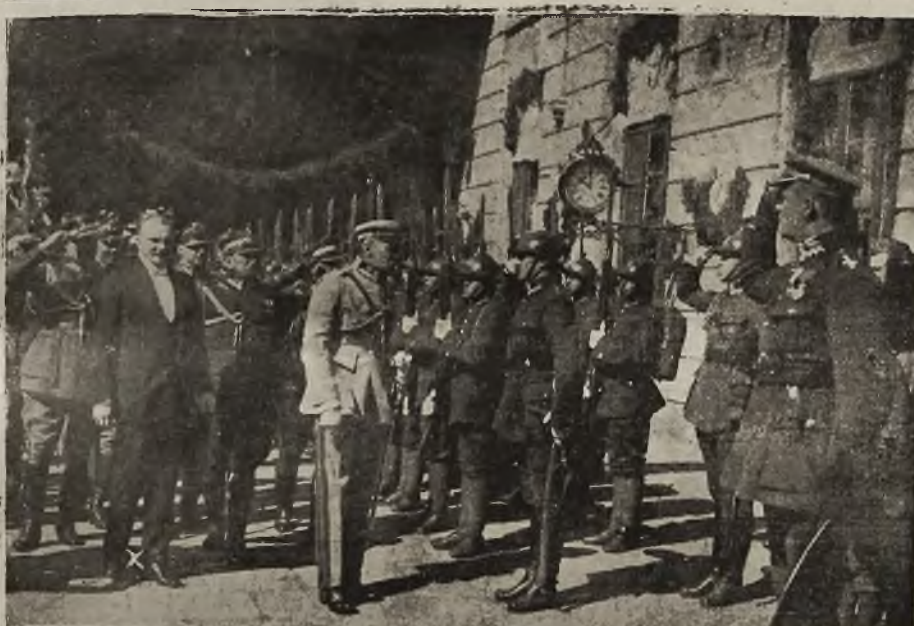
Święto 29 pułku p. w Kaliszu: Jenerał Żeligowski w rozmowie z Naczelnikiem Państwa.

z Warszawy na raut, urządzony przez oficerów 29 p. p.

O godzinie 12 min. 30 w nocy Naczelnik Państwa wraz ze świtą pociągiem nadzwyczajnym odjechał do Warszawy.

Kraków wita obrońców granic Rzeczypospolitej.

Armia polska w drugim rozdziale swoich dziejów, datującym się od chwili ogłoszenia naszej samodzielności, a więc liczącym zaledwie dopiero dwa lata, ma już tyle chlubnych kart, iż mogłaby ich pozazdrościć jej każda inna. W ciągu ostatnich dwu lat żołnierz polski złożył tyle dowodów bohaterstwa i bezgranicznego poświęcenia, taką sławą okrył nasze sztandary, iż dziś stawianym jest za wzór i budzi podziw u swoich i obcych. Świadczy to o rycerskim duchu narodu i o tem, iż godni jesteśmy, aby zająć należne nam miejsce w rzędzie najpotężniejszych narodów wolnej Europy. Wiekowa nie-



Święto 29 pułku p. w Kaliszu: Naczelnik Państwa przed frontem kompanii honorowej na dworcu kolejowym.



Naczelnik Państwa na obiedzie u żołnierzy w Parku miejskim.

Za to hołd i cześć składamy Ci dziś i witamy jeszcze raz całem sercem. Pierwszy Naczelnik Państwa, Marszałek Ojczyzny, Józef Piłsudski niech nam żyje!

Następnie przemówił dowódca O. G. Łódź jen. Rządkowski na cześć Naczelnego Wodza armii polskiej, prezydent miasta Warszawy Drzewiecki na cześć społeczeństwa kaliskiego, członek francuskiej misyi wojskowej jen. Mercier w języku francuskim na cześć Polski, w której wielkość wierzy cała Francya.

W końcu zabrał głos Naczelnik Państwa podnosząc w swem przemówieniu umiłowanie żołnierza polskiego przez obywatelstwo Ziemi kaliskiej, wyrażające się w ciągłej trosce o dobro tegoż żołnierza i to nie tylko w chwili dla Ojczyzny groźnej, ale i w czasie pokoju. Przemówienie swoje Naczelnik Państwa zakończył okrzykiem: Niech żyje Kalisz i Ziemia kaliska!

Po bankiecie Naczelnik Państwa udał się łodzią do przystani wioślarskiej, gdzie powitał go prezes Towarzystwa wioślarskiego p. Radwan w otoczeniu wioślarzy kaliskich.

Z przystani Naczelnik w towarzystwie wojewody Kamińskiego udał się pieszo do pobliskiego parku na zabawę żołnierzy 29 p. p.

Od godziny 6 do 8 wieczorem Naczelnik Państwa udzielał audyencyi w gmachu starostwa, a o godzinie 10 przybył w towarzystwie jenerała Józefa Hallera, który przed wieczorem przyjechał



Kraków wita obrońców granic Rzeczypospolitej: Dekoracya oficerów i żołnierzy krzyżami „Virtuti militari".

wola nie zdołała zgasić w naszych sercach tego ognia miłości Ojczyzny, który dodawał dziadom i ojcom naszym siły w latach najcięższego ucisku.

Każda niemal jednostka bojowa naszej armii, każdy pułk, każdy nawet szwadron i kompania ma już swą własną historyę, własne wieńce laurowe, zdobyte na kresach wschodnich i zachodnich. W ich rzędzie jedno z najpoczestniejszych miejsc zajmuje ósmy pułk ułanów imienia księcia Józefa Poniatowskiego, który po dwu latach bojowych trudów i znojów zawitał do Krakowa na zasłużony spoczynek. Wołyń, Ukraina, wschodnie ziemie Małopolskie, Śląsk Cieszyński, oto etapy, na których dzielnie spisali się nasi bohaterowie, siejąc postrach w szeregach wroga i przysparzając nowej chwały dla amarantowych sztandarów, ozdobionych wizerunkiem Białego Orła.

Wracających pod dach rodzinny witał też Kraków całem sercem i całą duszą, oddając w ten sposób hołd swym obrońcom, a zarazem i pamięć tych, których liczne mogiły pokryły nasze kresy, tworząc pewien rodzaj kopców strażniczych, mających bronić granic Rzeczypospolitej i przypominać wrogom, że naród polski czuwa i bronić będzie do ostatniej kropli krwi swej wolności i najmniejszego nawet skrawka ojczystej ziemi, którą chcianoby nam wydrzeć siłą lub podstępem.

W niedzielę, dnia 22 maja b. r. odbyło się na Błoniach krakowskich uroczyste powitanie ósmego pułku ułanów, szóstego batalionu saperów i piątej



Kraków wita obrońców granic Rzeczypospolitej: Przegląd wojsk przed mszą polową.



Delegacya 8 pułku ułanów ze sztandarem przed ołtarzem polowym.
Fot. am. M. Hajdukiewicz, Kraków.

dyw. artyleryi konnej, które po podpisaniu pokoju ryskiego i zniesieniu kordonu wojskowego wzdłuż wschodniej granicy, powrócić mogły w głąb kraju.

Przy pięknej pogodzie tłumy mieszkańców naszego miasta podążyły na Błonia, gdzie długim szeregiem ustawiły się oddziały 8 pułku ułanów, baterye oddziału sztabowego 5 dyw. art. konnej i trzy kompanie 6 batal. saperów. Prawe skrzydło otwierała orkiestra ułanów na koniach.



Kraków wita obrońców granic Rzeczypospolitej: Członkowie wojskowej misyi francuskiej z jenerałem Tronyo.

Już z daleka widniały żółte chorągiewki na lancach ułańskich, co sterczały nad głowami jeźdców, jak las gęsty a równy. Ogorzałe twarze żołnierzy aczkolwiek nie pozbawione śladów po odbytych trudach bojowych, jaśniały radością i dumą; z oczu bił żar, żar męstwa i hartu. Równolegle do oddziałów wojsk, ustawiły się tłumy mieszkańców. Między wojskiem a publicznością wznosił się ołtarz polowy, ubrany w zieleń i kwiaty.

O godz. 9·30 przybyli jenerałowie: Szeptycki, Osiński, Kostecki, Linde i Truszkowski, jen. francuski Tronyo, misya francuska z pułk. Cailem, oficerowie francuscy, oraz cały korpus oficerski załogi krakowskiej. Zjawili się również: prez. miasta Federowicz z gronem radnych m., marszałek Skrzyński. zastępca starosty Nieświatowski, rektor Uniw. prof. Estreicher i inni.

Przybyli także powstańcy z roku 1863 ze sztandarem i delegacye młodzieży szkół średnich.

Przed frontem wojsk przeszedł jen. Szeptycki, poczem w krótkiej żołnierskiej przemowie podniósł bohaterstwo walecznych oddziałów. Następnie imieniem miasta przemówił prez. Federowicz.

Znane są — mówił — Krakowowi nieśmiertelne czyny ułanów, którzy przez swe męstwo i hart, tradycye dzielności i imię żołnierza polskiego nietylko utrzymali w pełni, ale wznieśli je na wysoki poziom potęgi i chwały. Przez swe bohaterstwo złożyli przed światem potężny dowód, że Polska jest narodem mającym wszelkie prawo do wolności.

Po przemówieniach kapelan załogi odprawił mszę polową, podczas której przygrywała orkiestra 20 p. piech. Przed ołtarzem ustawiła się delegacya 8 p. ułanów ze sztandarem pułkowym.

Po nabożeństwie jen. Szeptycki dokonał dekoracyi kilkunastu oficerów, podoficerów i szeregowców krzyżami „Virtuti militari".

W końcu uroczystości odbyła się defilada wojsk. Publiczność zgotowała defilującym oddziałom huczną owacyę.

W program przyjęcia przybyłych wchodzi też wieczornica, urządzona przez miasto w refektarzu klasztoru OO. Franciszkanów.

Z półek księgarskich.

Józef Lasoń. **Legendy.** Kraków 1921. — Nakładem Samopomocy Wydawnictw „Pogoń". Główny skład: Księgarnia Nauka i Sztuka Kazimierza Leśniaka — Kraków, Podwale 6.

Dorobek literacki J. Lasonia jest już wcale pokaźny. Rzemiosło wojenne nie wytrąciło bynajmniej pióra z jego ręki, w ciągu swej prawie siedmioletniej służby wojskowej znalazł zawsze dosyć czasu, aby zdobyte wrażenia przelać na papier i podzielić się niemi z czytelnikami. W tym czasie opuściły prasę drukarską jego pióra: „Zatracone dusze" (nowele), „W księżycową noc" (nowele), „Chrystus" pieśni XII (poemat), „Legiony" (dziesięć scen dramatycznych), „Legiony na Wołyniu" (kartki z pamiętnika), „Rycerskie sny niewidomych" (nowele), „Romanse ułańskie" (powieść), „Szatan wojny" (powieść). Obecny zbiorek zawiera kilkanaście legend, osnutych na tematach przeważnie fantastycznych, ale nie pozbawionych związku z przejawami codziennego życia. Sposób wyrażania przez Autora swych wrażeń i uczuć, prosty i nie wymuszony, znajdzie z pewnością licznych zwolenników wśród czytającej publiczności.



Kraków wita obrońców granic Rzeczypospolitej: 8 pułk ułanów im. Ks. J. Poniatowskiego podczas mszy polowej w dniu 22 b. m.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

— Co za traf szczęśliwy, że panią raz wreszcie zastaję w domu — zaczął z przymuszonym uśmiechem.

— Przygotowuję się do egzaminu, niemam więc czasu do zabaw...

— No, ale gdzieś się pani uczyć musi..

— Naturalnie, ale ponieważ tutaj nie mam spokoju, wynoszę się więc do koleżanek.

— Szukałem od dawna sposobności, aby przeprosić panią za moją siostrę. Byłem zrozpaczony dowiedziawszy się w jaki sposób obeszła się z panią. Zerwałem z nią prawie i zdaje mi się, że nigdy nie daruję jej tego.

Celina ze zdziwieniem patrzała na niego, skąd mu te żale, ten pokorny ton mowy? tymczasem pan Michał mówił dalej:

— Od tej chwili nie miałem spokoju, śledziłem za panią, a dowiedziawszy się, gdzie się pani ukryła...

— Nie ukrywałam się wcale — odparła Celina z dumą — nie miałam do tego ani chęci, ani potrzeby, czyn pani Czarskiej nie mnie poniżył.

— Ma pani zupełną słuszność, przepraszam za niewłaściwe wyrażenie! Dowiedziawszy się więc gdzie pani mieszka, postanowiłem za jaką bądź cenę wcisnąć się do tego domu, aby panią przeprosić i okazać jej moją skruchę.

— Dziękuję panu, jest to słabe zadośćuczynienie za wszystkie nieprzyjemności, jakie mi pan zgotował swojem postępowaniem.

— Muszę znowu przyznać pani słuszność — mówił pan Michał patrząc na nią ze smutkiem — poddam się każdej pokucie, jaką mi pani naznaczy, żebym tylko mógł wymazać z pamięci pani ten czas nieszczęsny w domu mojej siostry przeżyty.

— O żadnej pokucie niema mowy! przebaczam panu i o jedno tylko proszę, aby pan tutaj nie zaczynał tego samego. Zostaw mnie pan memu losowi, już ja sama utoruję sobie drogę.

Pan Michał pobladł i spuścił głowę. — Srogo mnie pani karze — szepnął.

— Cóż to państwo tak zawzięcie rozprawiacie — zawołała Wanda, zerkając z boku na siostrę — pan mecenas aż blady wzruszenia, a Celina czerwona jak bu... jak piwonia...

Tymczasem pani Domejkowa wywoławszy syna szeptała:

— Władziu nie masz tam wina w domu?

— Wina, a skądże?

— Nieraz dawałeś nam przecie z tego co dla chorych przeznaczone. Wypada jakoś lepiej przyjmować pana Wirskiego, widocznie myśli o jednej z dziewcząt.

— Myśli, ale nie o maminych! Co zaś do wina, mam je dla siebie, a nie dla urojonego konkurenta, gotów jeszcze domyśleć się skąd je biorę. Nie dam! a jak mama będzie nudziła, to i wy nigdy nie dostaniecie.

— No nie gniewaj się, przecież nie uszczuplisz matce dla jakiejść tam hołoty. — Z temi słowy podreptała z westchnieniem w stronę nakrytego stołu, przestawiając po raz setny skromną zastawę.

Upłynęło kilka tygodni, podczas których Celina nie widywała wcale pana Michała, chociaż jak słyszała z opowiadania, bywał niemal codziennie. Od ostatniej rozmowy częściej o nim myślała. Z mimowolnem upodobaniem przypominała sobie jego słowa pełne szacunku, jego żal niekłamany! Przecież on ma pewną wartość — mówiła sobie — nie jest takim zwykłym Don Juanem. Z jaką męską odwagą przyznał się do winy i jak szczerze pragnąłby złe naprawić.

Tymczasem nadszedł karnawał, a z nim bal u doktora Sławuckiego, na który już dawno Celina była zaproszoną. Zabawy te cieszyły się wielkiem powodzeniem, każdy bowiem znajdywał tam to, bo mu najwięcej odpowiadało. Panny, liczną i dobową młodzież, panowie, ładne i bogate panny, starsi doskonałą kolacyę i wytrawne wina. Cała inteligencya bywała u doktora Sławuckiego, profesorowie uniwersytetu, adwokaci, lekarze, a chociaż właściwie nie było pani domu (matka Helenki umarła bowiem przy jej urodzeniu), gościnność gospodarza i wdzięk jego córki pozwalały o tem zapominać.

Celina w kremowej sukni, z pąsową różą we włosach, czekała w pokoju Helenki, aby wejść z nią razem.

Wkrótce przybiegła w białych illuzyach, zarumieniona, z błyszczącemi oczyma, pochwyciła Celinę za ręce i przypatrywała jej się uważnie.

— Bardzo dobrze, nie zawiodłam się na tobie — zaczęła z ożywieniem — ślicznie ci w kremowem, musisz się podobać! a moja sukienka czy nie ładna? — pociągnęła Celinę przed lustro, w którem odbiły się dwie istotnie wdzięczne postacie.

— Rzeczywiście stanowimy bardzo silny kontrast — rzekła uśmiechając się — ładnie wyglądają twoje ciemne włosy, przy moich jasnych, twój smukły wzrost, przy mojej drobnej figurce. Cieszę się, żem cię wynalazła i na świat wydobyła.

— Aż tak dalece — zawołała ze śmiechem Celina.

— A tak! byłaś niby drugi kopciuszek, zagrzebana w książkach i pracy. Jadwiga znowu fatalne ubrana, co za myśl wkładadać niebieską wełnę, o Wandzie nawet nie mówię, lepiej zrobiłaby zostając zupełnie w domu — ruszyła ramionami — bez gustu, ale nie powtórz tego przed niemi, nie chcę Władkowi sprawiać przykrości.

— Ej, coś tobie bardzo o tego Władka chodzi — odparła Celina z uśmiechem.

— Czy nie jest miłym i przystojnym? — zapytała Helenka naiwnie — przepadam za brunetami o bladej cerze i ognistych oczach.

— Aha, takimi, jak pan Władysław.

— No tak, a ty...

— Co, ja...

— A tobie on się nie podoba? tak często z nim przestajesz — i rumieniąc się, spoglądała na przyjaciółkę.

— O, bądź spokojna, — odparła — to nie mój typ.

— To mnie cieszy, a teraz chodźmy — mówiła Helenka, wkładając rękawiczki — zaraz będzie walc.

Stanęły na progu. Cały salon tonął w powodzi światła elektrycznego, odbijającego się w lustrach i błyszczacej posadzce. Po rogach grupy palm i egzotycznych roślin tworzyły całe klomby. Strojne postacie młodych panien siedziały na kanapkach i fotelikach, panowie zbitą grupą stojąc we drzwiach, naciągali rękawiczki. Pierwsze takty walca rozległy się upajającymi tonami. Celinie zdawało się, że przeniesioną została w jakąś zaczarowaną krainę. Czarowne było to oświetlenie, czarowne te istoty w powiewnych strojach i ta muzyka tak piękna i harmonijna. Usiadła na bocznej kanapce, wpatrzona w ten zachwycający obraz. Z grupy panów oddzielił się pan Michał i szedł ku niej! Prosty i smukły, pełen wdzięku a zarazem siły. Pochylony w ukłonie, zatopił w niej swe piękne, szafirowe oczy.

— Pozwoli pani...

— Wie pan — rzekła, kładąc rękę na jego ramieniu — że się trochę boję, tańczyłam tylko na pensyi z koleżankami.

— Czy to znaczy, — odparł ze zdziwieniem — że pani jeszcze nigdy nie tańczyła z mężczyzną?

— Tak jest — mówiła zmieszana — i jeżeli pan myśli, że nie potrafię, to lepiej nie zaczynajmy...

— Ależ przeciwnie — zaśmiał się, otaczając ramieniem jej kibić — będziemy całą noc tańczyli, aby się pani nauczyła. Dzień dzisiejszy i ten wieczór jest jakby wyodrębniony w mem życiu — mówił zniżonym głosem, tańcząc w powolnem tempie — od rana samego przyświecała mi myśl, że panią zobaczę.

— Proszę, nie mów pan podobnych rzeczy — rzekła Celina, chmurząc się.

— Jeżeli pani naprawdę nie chce słuchać tego, to pokuta moja już się zaczyna — odparł zmieszany niepewnym głosem.

— Czyż nie mamy innych tematów? — spytała — ciągle dotykać osobistości, to nudno.

— Niestety! ja już nie umiem o czem innem — szepnął — sam sobie dziwię się i z trwogą pytam, czy to nie Nemezys?

Nic nie odpowiedziała, wolała tańczyć niż rozmawiać, opuściła ją wcześnie powaga, wesołość błyszczała jej w oczach, a śmiech na ustach. Okrążywszy kilka razy salę, posadził ją, sam usiadłszy obok, ale Celinie nie długo pozwolono spoczywać, raz po raz brano ją do tańca, a jej się zdawało, że ziemi nie dotyka.

W rogu salonu siedziała Jadwiga z Wandą i kilkoma starszemi pannami, nudziły się, bo nikt jakoś nie zapraszał je do tańca.

— Już co prawda — mówiła nadąsana Jadwiga — Helenka nie bardzo troszczy się o swoich gości, jeszcze ani razu nie zbliżyła się do nas.

— Bawi się — odparła wysoka, chuda panna już nie pierwszej młodości, w białej sukni z żółtemi wstążkami — bogata, to jej nadskakują.

— Oj ci mężczyźni — zauważyła Wanda żółciowym tonem — wszyscy tylko za posagiem gonią.

— Nie powiedziałabym tego — zaczęła Jadwiga — są panny bez posagu, o które dobijają się kawalerowie. Bo to zupełnie co innego taniec, a podobanie, można na zabawach mało tańczyć, a mieć konkurentów i można być rozrywaną na balach, a zostać starą panną.

Chuda panna uśmiechnęła się szyderczo, a niemłoda pani, siedząca dotąd w milczeniu, zauważyła, zwracając się do Jadwigi:

— Dużo tańczy i ładnie wygląda ta panienka, która przyszła z paniami.

— Ona z nami nie przyszła — odparła Jadwiga, wachlując się i patrząc z pod oka na Cesię.

— Tak, to mi się widać zdawało! Śliczna osóbka, rzadko zdarza się taka świeża cera przy ciemnych włosach. A tańczy jak Sylfida!

— Nie widzę w niej nic nadzwyczajnego — rzekła Wanda.

— Ubrała się do twarzy, więc dobrze wygląda — dodała Jadwiga niecierpliwym ruchem składając wachlarz — w codziennej sukni jest zupełnie pospolita.

— Więc pani zna ją?

— Mieszka u nas, to jeszcze nie znaczy, że ją znam - uśmiechnęła się pogardliwie — pójdę do Helenki — dodała wstając i poprawiając suknię — przecież skończył się ten szalony walc.

Helenka siedziała na kanapce, otoczona panami. Każdy cisnął się do niej, każdy chciał ściągnąć jej uwagę na siebie. Pan Władysław zajął miejsce na krzesełku obok kanapki i drwiącem spojrzeniem mierzył młodych ludzi. Nie mieszał się do rozmowy, nie prawił komplementów, udawał obojętnego i dobrze na tem wychodził.

— Nie dostanę więc żadnego już tańca? — pytał wysoki, elegancki młodzieniec z rudawą czupryną i wygoloną po angielsku twarzą, pochylając się nad panną z błagalnem spojrzeniem.

— Kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi — mówiła Helenka śmiejąc się i wachlując.

— To nie z mojej winy — usprawiedliwiał się pokornie — byłbym rad ptakiem przylecieć, ale obowiązki...

— O tak, wiem, zarządza pan kuchnią i spiżarnią Krzeszowicką — rzekła z drwiącym uśmiechem.

— Ja pani? wyprostował się dumnie.

— Pan Apolinary jest administratorem u hrabiego Potockiego zauważył z przyciskiem mały przysadkowaty paniczyk z czerwoną twarzą i śmiejącemi się oczami.

— Niewiem jak się ten urząd nazywa — mówiła Helenka niedbale — przypominam sobie tylko, że raz wyliczał nam pan Apolinary z jakich potraw składa się obiad hrabstwa, a z jakich służby, stąd wywnioskowałam, że ma coś z kuchnią do czynienia.

Lekki uśmiech przewinął się po ustach wszystkich, pan Apolinary znanym był ze swych opowiadań o dworze Potockich, ich bogactwie, potędze i swoim u nich wpływie.

Pan Apolinary, obrażonym wzrokiem mierząc zuchwałe dziewczynę, usunął się w głąb pokoju.

— Cóż dzidzi porabia — zagadnął starszy jegomość z jowialną twarzą, zatrzymując się przy kanapie Helenki — cały sztab przy panience, więc rada.

— Dzidzi, proszę! — zawołała z żywością obracając się do mówiącego — doktór wie najlepiej, żem już skończyła lat ośmnaście...

— Dwa tygodnie temu — odparł śmiejąc się wesoło. — A cóż hasaliśmy dużo?...

— Walc był za krótki — odpowiedziała Helenka odymając różowe usta — papa zawsze skraca nam wirowe tańce.

— Bo niezdrowe, bo niezdrowe! Nie bójcie się, jeszcze wytańczycie się dzisiaj. No różyczko do widzenia — dodał odchodząc — a nie kłój zbytecznie swoich wielbicieli.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

42 I.

Bufet znajdował się w głębi, oświetlony dwoma wiszącemi lampami. Pod niskiem sklepieniem unosiła się gęsta, dusząca mgła dymu i oparów przeróżnych. Szynkownia ta miała wygląd ponurych, ciemnych suteryn, a bliskość rzeki szumiącej monotonnie i bez przerwy, przyczyniała się do odstraszającego i niepokojącego wrażenia, jakie czyniła.

Kilku ludzi o podejrzanym wyglądzie siedziało przy stołach, zastawionych olbrzymimi kuflami piwa i szklankami absyntu, likieru i napoi różnych o wielorakich barwach. Od czasu do czasu ponad szmerem rozmów wzniosło się przekleństwo, wypowiedziane grubym, gardłowym głosem i ginęło, nie zwracając niczyjej uwagi.

W głębi za bufetem stał człowiek łysy zupełnie. Twarz miał suchą, pergaminową i olbrzymi brzuch, rozpychający w komiczny sposób kraciatą, otłuszczoną kamizelkę. Chudy, rudy chłopak usługiwał gościom, przesuwając się jak cień pomiędzy stolikami.

Na wejście nowoprzybyłych kilku pijących odwróciło głowy, inni przyglądali im się z głupkowatą ciekawością. Ale Dick Leslie nie zmięszał się tem bynajmniej. Zawołał chłopca i kazał przynieść mu dwie szklanki whisky dobrze przyprawionego.

— Czy on przyjdzie? — zapytał półszeptem Robert, patrząc niecierpliwie ku drzwiom.

— Obiecał — odpowiedział wymijająco detektyw, zapalając fajkę.

Zamilkli. Robert Alimena zapadł w ciężkie zamyślenie. Leslie palił, wypuszczając z ust gęste kłęby dymu.

Nagle, z ulicy rozległ się gwizd przeciągły i ostry. Dick Leslie zadrżał, ale nie powiedział ani słowa.

— Co to jest? — zapytał Robert, przechylając się ku niemu.

Detektyw znakiem ręki nakazał mu milczenie. Gwizdnięcie powtórzyło się, bliższe już i donośniejsze. Wówczas dwoje ludzi powstało od stolika, gdzie pili piwo i na stół rzucili kilka drobnych, srebrnych monet. Ludzie ci mieli zwierzęce, cyniczne twarze, szyje ich były okręcone brudnym, czerwonym fularem. Wyszli z szynku pomału, trzymając ręce w kieszeniach, rzucając wokoło przeciągłe, podejrzliwe spojrzenia.

Drzwi zamknęły się za nimi i długa chwila milczenia zaległa salę. Czuć było w powietrzu coś tragicznego i ponurego.

— Stanie się za chwilę jakieś nieszczęście — zauważył obojętnie Dick.

— Doprawdy? Tutaj? blizko? — zainteresował się Robert Alimena.

Detektyw skinął głową i zamilkł. Dochodziła już dwunasta godzina.

— Ten John nie zjawia się jakoś — wyrzekł po jakimś czasie Robert, który drżał z niecierpliwości.

Lecz jeszcze nie wymówił dobrze tych słów, kiedy drzwi, zakryte czerwoną firanką, rzucającą krwawy blask na ulicę, otworzyły się i do szynku wszedł John, służący Markusa Hennera.

— To on! — oznajmił cicho Dick Leslie.

John wszedł powoli, trzymając ręce głęboko wsadzone w kieszenie palta, z fajką w ustach. W przechodzie rzucał pozdrowienia zgromadzonym głosem znudzonym i spokojnym.

Ujrzawszy detektywa, ukłonił mu się, ale nie zbliżył do niego, tylko sam zajął miejsce przy odosobnionym stoliku.

Usiadłszy, fajką uderzył o stół, w ten sposób przywołując usługującego chłopaka i kazał mu podać „cock-lacl", ten sławny napój angielski.

— Dlaczego on nie podszedł do nas? — zapytał Dicka Robert.

— Trochę cierpliwości. Nie trzeba przyśpieszać wypadków i nie trzeba zdradzać naszej ochoty do rozmowy z nim.

— Dobrze, panie Dicku, ale cierpliwość opuszcza mnie już na dobre.

— Wszystko nadchodzi w porę dla tego, który czekać umie — odpowiedział sentencyonalnie Dick Leslie.

— Ah! Boże! kiedy pomyślę, że w rękach tego człowieka leży moje szczęście — żachnął się Robert.

Dick nie odpowiedział, tylko otoczył się gęstszą jeszcze chmurą dymu. Milczenie ich przerwane było wkrótce odgłosem gwizdnięcia, pochodzącego z oddali już teraz, lecz również donośnego i ostrego. Ktoś przebiegł pod drzwiami szynkowni i znowu zaległa cisza.

— Co się dzieje? — zapytał Robert.

— Sprawa załatwiona — odpowiedział detektyw, nie odwracając nawet głowy.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Człowiek jakiś zginął...

— Człowiek?

— Tak... kobieta może — kto to wie...

— Morderstwo?

— Oczywiście.

— Jutro policya znajdzie zwłoki...

— Oh! nie. Tamiza jest tak głęboka!

— I pan, człowiek należący do policyi, może to tak mówić spokojnie — oburzył się Robert. — Nie stara się pan zbadać, zapobiedz, odkryć winnych?

— Nie dano mi na to rozkazów — odparł zimno detektyw. — A kiedy nie mam rozkazu — nic mnie to obchodzić nie powinno. Gdyby mi jednak zlecono jutro szukać winnych, wiedziałbym doskonale, gdzie ich szukać.

— Trochę zapóźno! Po dokonanym morderstwie — zauważył z goryczą Robert.

— Ha! trudno! Tyle ludzi ginie co dnia w Londynie!

— Co za okropny kraj!

— Okropny! — przyświadczył Dick Leslie, nakładając sobie świeżo fajkę — ale nie okropniejszy od innych.

W tej chwili John powstał z miejsca i powolnym krokiem zbliżył się do ich stolika, pozdrawiając uprzejmie Dicka. Alimena odpowiedział na to pozdrowienie lekkiem uchyleniem kapelusza i w milczeniu wpatrzył się w sufit z miną zupełnie obojętną, jak gdyby rozmowa Johna z detektywem nie zajmowała go wcale.

— Przyszedłeś trochę późno, przyjacielu — zauważył Dick Leslie spokojnie.

— Tyle jest pracy u nas — odpowiedział wymijająco John.

— Nawet wieczorem?

— Nawet w nocy.

— Zła służba. Ja bym tam nie pozostał długo — mruknął Dick Leslie, paląc zawzięcie swoją fajkę.

— Urządzam się zawsze w ten sposób, aby być wolnym o tej godzinie — rzekł służący, siadając na ławce obok detektywa.

— Ah! tak! Ale twój pan pracuje dalej?

— Tak. On czuwa późno w nocy.

— Co robi? Czyta? pisze?

— Przyjmuje także gości — szepnął cicho John.

— Ah!

— Markus Henner jest potężnym człowiekiem — dodał służący, patrząc ukradkiem na Roberta, nie wtrącającego się wcale do rozmowy.

— Ho! ho! on może nie jest tak potężnym, jak ci się to zdaje, mój przyjacielu — zaśmiał się ironicznie Dick Leslie. Któż go zna właściwie? Kto o nim co wie?

— Jest wielkim i potężnym człowiekiem — powtórzył tajemniczym, drżącym głosem służący, który trwał jeszcze pod wpływem swojego pana.

— Szczęśliwy? sławny? bogaty.

— Bogatym jest, jestem tego pewnym i sławnym pomiędzy ludźmi jego pochodzenia... ale szczęśliwym nie sądzę...

— Widzisz więc mój kochany, że Markus Henner nie jest jeszcze księciem Wellingtonem.

— On posiada wielką władzę nad duszami — unosił się dalej John — ujarzmia je, panuje nad niemi, urabia według swojej woli...

— Tak — to możliwe, on musi być magnetyzerem — rzucił niedbale Dick.

— Nie wiem, kim on jest, ale wiem, że potrafi pokonać wolę cudzą, zmienić myśli człowieka, uspakajać bóle i wzniecić radość.

— Radość sztuczną — wtrącił nagle milczący dotąd Robert.

— Prawdziwa, czy sztuczna, co to znaczy! — odparł John, zwracając się w jego stronę.

— Hypnotyzm jest źródłem przeróżnych oszukaństw — wyrzekł zimno Alimena, odwracając wzrok od spojrzenia, jakiem go objął służący.

— To możliwe. — Ale są to święte oszukaństwa. Kilka dni temu, widzi pan, przyszła do mojego pana młoda suchotnica, znajoma moja. Nie chciał jej przyjąć, bo zjawiła się w niedobrej dla niego chwili. Ale tak gorąco przemawiałem za nią, że zgodził się na rozmowę z nią. Uśpił ją i kazał jej uwierzyć, że jest uzdrowioną. No, i ona odeszła taka uspokojona, taka szczęśliwa!

— Kłamstwo! wszystko kłamstwo — powtórzył półgłosem Robert.

— A przytem — dodał Dick Leslie, śmiejąc się ironicznie — nie wierzę, aby twój pan działał zawsze w dobrym celu.

John spuścił głowę i nie odpowiedział.

— Mówiliście, że on nie czuje się szczęśliwym? — zapytał Robert po chwili, chcąc znowu podjąć rozmowę.

— Nie! Nie!

— Dlaczego?

— On kocha kobietę, która go nienawidzi — rzekł John, patrząc prosto w oczy Robertowi.

— To jest twoja pani? — zapytał Dick, porozumiewając się spojrzeniem z towarzyszem.

— Tak.

— To jest jego żona?

— Nie wiem — zdaje mi się, że nie — odparł John w zamyśleniu.

— Więc jego kochanka?

— Nie wiem.

— Jakto! Nie wiecie tego? — zawołał Robert zniecierpliwiony.

— Jakże pan chce żebym wiedział?

— Żyjecie przecież razem.

— Tak. Ale ten dom jest taki dziwny.

— Czy on i ta kobieta nie mieszkają wspólnie? — zapytał Robert drżącym głosem.

— Ona go wypędza zawsze od siebie.

— Zawsze?

— Z wyjątkiem tych chwil, w których on ją hypnotyzuje — to jest próbuje hypnotyzować.

— Próbuje? Więc mu się to nie zawsze udaje? — pytał gorączkowo Alimena, nie mogąc już panować nad sobą.

— Mój pan usiłuje ją uśpić.

— I ona zasypia?

— Na bardzo krótko.

— Czy udaje mu się ją zasugestyonować? — badał dalej Robert, blednąc nagle.

— W części — wyznał John z trudem, odwracając oczy.

— Wytłómacz nam to lepiej, mój przyjacielu — wmięszał się Dick Leslie, który spostrzegł ogromne podniecenie swojego towarzysza.

— Jakże pan chce, żebym to lepiej wytłómaczył! Biedna pani Marya, jest istotą bardzo nieszczęśliwą i wszystkie jej przejścia wydają się być jak wyjęte z romansu!

— Z romansu! — zawołał Robert, nie spuszczając z oczu mówiącego.

— To historya taka długa, taka smutna i bolesna — szepnął służący z prawdziwem wzruszeniem w głosie.

— Opowiedz ją nam!

— Nie mogę — wyszeptał ciężko John, nizko spuszczając głowę.

— Dlaczego nie możesz, mój przyjacielu? — nalegał Robert Alimena.

— Bo zdradziłbym swojego pana!

— Czy on nie jest tym, który więzi twoją biedną panią?

— To prawda.

— Czy to nie on pozbawił ją wolności?

— Tak, tak!

— Czy to nie on, który stara się zniszczyć jej wolę zbrodniczymi środkami? Czy to nie przez niego ona jest tak nieszczęśliwą?

— Oh! tak! tak! — wyszeptał służący, zakrywając twarz rękami.

— Panie Johnie, czy nie kocha pan więcej swojej pani od swojego pana?

— Oh! ja uwielbiam tę biedną istotę!

— A jego nienawidzisz, prawda?

— Nie mam nienawiści dla niego?

— Lękasz się go?

— Trochę.

— Dlaczego? Cóż on ci może zrobić?

— On jest zdolnym do wszystkiego — wymówił John drżącym głosem.

— On o niczem wiedzieć nie będzie.

— On wie wszystko!

— Zwyciężymy tego nikczemnika! On umrzeć musi! — zawołał Robert Alimena, zapominając o wszelkiej ostrożności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

38

Po długiem wahaniu odłożył list na bok, wyjął z szuflady swój rękopis i zabrał się do pracy. Zapomniał, że się znajduje w Londynie, że to niedziela; zapomniał o wszystkiem, z wyjątkiem tego, co czynił. Lecz wieczorem, przy samotnym obiedzie pragnienie wyjązdu powróciło, i chociaż sobie mówił, że za niem nie pójdzie, nie odpisał na list Nigla. Miał niedorzeczne uczucie, że nie odpisując, pozostawia otwartą furtkę do tej podróży.

I nigdy na ten list nie odpisał. Dzień przechodził po dniu. Pracował z niesłychaną energią. Wydawał się tak samo zainteresowany, tak samo oddany swoim pacyentom, jak zawsze. Lecz przez cały czas, kiedy siedział w konsultacyjnym gabinecie, kiedy słyszał rozwodzenia się nad symptomami, kiedy dawał rady i pisał recepty, bawił się w duchu myślą, że może na wiosnę zrobi sobie wakacye i pojedzie do Egiptu. Posiadał żywą wyobraźnię, którą zazwyczaj trzymał na wodzy, teraz puścił jej cugle. W najciemniejszych dniach wyobrażał sobie, że jest w słońcu. Patrząc na ogołocone drzewa w parku widział bujne palmy. Słyszał łagodny wietrzyk szumiący w ich liściach, mówiący mu o pustyni. Nigdy przedtem wyobraźnia nie sprawiała mu tyle przyjemności. Czy stał się znowu dzieckiem? Takby się zdawało. Gdyby pacyenci znali obecny stan człowieka, którego błagali o zdrowie! Lecz twarz jego nic nie zdradzała, i byli spokojni.

Minął luty.

Jeśli rzeczywiście miał zamiar udać się nad Nil, nie powinien zwlekać z wyjazdem. Czy miał ten zamiar? Tak długo bawił się tą podróżą w myśli, tak ją sobie wyobrażał, że zaczynał wmawiać w siebie, że powinien na tej przyjemności poprzestać. Mówił sobie nawet zwykłe kłamstwo, że myśl o jakiejś rzeczy jest lepszą od niej samej, że gdyby zobaczył Egipt rzeczywisty, znalazłby go mniej pięknym, niż ten, który widywał w marzeniach. I postanowił, że pojedzie.

W dniu, w którym powziął to postanowienie, otrzymał od pacyentki list, którą wysłał na zimę nad Nil. Pisała z Luksoru szczegóły o swem zdrowiu, które czytał uważnie. Przy końcu listu wpadła na temat plotek, opisywała skandaliki w rozmaitych hotelach i kończyła następującym ustępem:

„Ogromną senzacyę wywołało tutaj przybycie dahabijeh, Lonlii. Mówiono mi, że to najpiękniejsza łódź na Nilu i że wszyscy pragnęliby na niej płynąć. Lecz niema o tem mowy dla nikogo z nas. Lonlia jest przywiązana u zachodniego brzegu, po stronie Teb, i należy na czas sezonu do Armine'ów. Musi pan pamiętać, że Mrs. Armine była dawniej Mrs. Chepstow, i zupełnie niemożliwą. Teraz, kiedy powtórnie wyszła za mąż, myśli, że będzie przyjmowaną, lecz to się nigdy nie stanie. Naturalnie, gdyby miała szczęście zostać kiedyś Lady Harwich, mogłoby to być, tak wielkie położenie kazałoby ludziom inaczej się zapatrywać. Lecz niema o czem mówić, bliźnięta pobiły ją na głowę. Powiadają, że o mało nie oszalała z gniewu dowiedziawszy się o tem. Zdaje się, że nie powiedział jej o tem ani słowa przed małżeństwem. Mądry człowiek! Widocznie dobrze znał swoją Mrs. Chepstow. Niemniej jednak słyszałam, że jest zupełnie oddaną swemu mężowi. Widziałam go na chwilę, któregoś dnia, jak szedł do królewskich grobów. Pomyślałam, że jest bardzo chory, taki dziwny kolor twarzy. Jej nie widziałam, mówią, że wygląda młodsza i piękniejsza niż kiedykolwiek w Londynie. Widocznie małżeństwo jej służy, a jemu przeciwnie i t. d.".

List ten nadszedł wieczorną pocztą i Isaacson czytał go po skończonej dziennej pracy. Kiedy skończył wyjął list Nigla, który zachował i zaczął porównywać. Nie było to potrzebnem, gdyż słowa Nigla wyryły mu się w pamięci. Widok tych obu listów obok siebie uczynił na nim nieprzyjemne wrażenie.

„Nigdy w życiu nie czułem się tak zdrowym". „Wyglądał bardzo chory—taki dziwny kolor twarzy".

Co się stało pomiędzy jednym listem, a drugim? Co wywołało tę zmianę?

Po kilku minutach Isaacson odłożył oba listy i zwolna zasunął szufladę biurka. Był już po obiedzie. Wieczór należał do niego. Przygotował swój nargilch i powiedział Henrykowi, żeby mu nie przeszkadzano.

Od owego wieczoru w jesieni, kiedy Nigel powiedział o Mrs. Chepstow „Mówi o wyjeździe do Egiptu na zimę", Issacson nie wziął do ręki długiej, podobnej do węża fajki. Tylko w chwilach kiedy chciał żywotność swego umysłu doprowadzić do najdalszych granic brał się do nargilch. Coś wschodniego w nim tkwiło, pobudzając do życia odziedziczone instynkty. Zakręcił elektryczne światła, usiadł w słabo oświeconem płomieniem ognia pokoju, i uchwycił cienkimi palcami długi, wężowaty cybuch nargilch. Wciągnął do płuc dym wybornego tytoniu, zatrzymał go i wypuścił nosem.

Londyn spał, a on wciąż siedział. W błyszczących oczach odźwierciadlało się intensywne życie jego umysłu.

Wreszcie, późno w nocy powstał z fotelu. Zasiadł przy biurku i pracował do rana, pisząc do pacyentów, przeglądając rachunki, książeczki bankowe, pisząc do swego bankiera, do szpitali z którymi miał stosunki, czyniąc mnóstwo rzeczy, które mogłyby i w ciągu dnia zostać załatwione. A kiedy wreszcie usłyszał ruch w domu, oznajmiający, że służba już się zbudziła, przycisnął guzik dzwonka. Henryk ukazał się natychmiast starając się ukryć zdziwienie.

— Jak tylko biuro Cook'a na Piccadilly zostanie otwarte, poszlij tam ten list. Posłaniec powinien zaczekać na odpowiedź.

— Dobrze, proszę pana.

— Te wszystkie inne pójdą pocztą.

— Tak, proszę pana.

— Powiedz Arturowi, żeby przygotował moją kąpiel.

— Tak, proszę pana.

— Doktór wstał.

— Będę przyjmował pacyentów dzisiaj. Jutro, a najdalej pojutrze opuszczę Londyn. Jadę na parę tygodni do Egiptu.

— Tak, proszę pana.

VII.

Isaacson nie zechciał wsiąść do omnibusu w Kairze, lecz pojechał do Shepheard-Hotel powozem, zaprzężonym w parę siwych, chudych koni. Woźnicą był arab zeszpecony ospą, w turbanie i europejskiem ubraniu. Była mniej więcej trzecia po południu i tłumy snuły się po ulicach. Isaacson rozglądał się z ciekawością wkoło. Czuł się podnieconym. To był przedsmak jego wschodniego życia. Nigdy przedtem nie postawił nogi na swem „właściwem miejscu". I już miał wrażenie, że jest u siebie. Widział białe domy z rosnącemi przed nimi palmami i wiedział, że w tych domach byłoby mu wygodnie. A ten tłum wschodnich ludzi z ciemnemi, śmiałemi, błyszczącemi, lub ciężkiemi sennemi oczami; z oczami, płonącemi żółtym blaskiem chciwości — ten tłum żółtych, brunatnych, czarnych twarzy, te delikatne wyraziste ręce z paznokciami zabarwionymi lunną; ten tłum gadatliwy, gestykulujący, którego oczy brały wszystko, a nic nie dawały — gdyby wysiadł teraz z powozu i odrzuciwszy europejski komfort ukrył się w tym tłumie, czy nie byłby po raz pierwszy w życiu samym sobą?

Kiedy zeszedł ze swego pokoju między czwartą a piątą na herbatę, orkiestra grała europejskie melodye. Postanowił tego jeszcze wieczoru poszukać w tubylczych dzielnicach jęczących, omdlewających dźwięków Wschodu.

— Taras naturalnie był zapełniony. Ludzie rożnych narodowości otaczali Isaacsona siedząc przy stolikach, wchodząc i schodząc po schodach prowadzących z tarasu na ulicę.

Rozglądali się, gestykulowali, gawędzili przy ciągłym brzęku porcelany. Panienki z długimi welonami przy kapeluszach jadły ciastka i chłodziły się lodami zabarwionemi na różowy, jasnozielony i migdałowy kolor. Starsze panie siedziały w bujających krzesłach napawając się ożywionym widokiem. Antykwaryusze kręcili się, rozmawiając, zapraszając, potrząsając spalonymi od słońca pustyni palcami. Amerykańscy aferzyści na wakacyach palili duże cygara i zapraszali przyjaciół z New-Yorku, Bostonu lub Washingtonu na obiad. Europejscy chłopcy elegancko ubrani, pełni życia i wesołości wchodzili i schodzili rozpowiadając swoje przygody. Ustawicznie zajeżdżały i odjeżdżały powozy, podczas, gdy chudy, wspaniale ubrany stary arab notował numery, ceny, w jakiejś księdze.

Lecz Meyer Isaacson patrzał tylko na wschonich ludzi, idących hałaśliwą ulicą. Nie spojrzał nawet ani razu uważnie na tłum turystów, żeby zobaczyć, czy niema wśród nich kogo ze swych znajomych, pacyentów, przyjaciół, lub nieprzyjaciół. Po chwili uwaga jego została zwróconą na zajeżdżający piękny faeton, zaprzężony w parę wspaniałych karych rysaków. Na przednim siedzeniu znajdował się Mahmud Barondi sam, w lekkim, popielatym garniturze, z turbanem na głowie. Za nim siedział szykowny angielski groom w liberyi. Faeton był czarny na czerwonych kołach. Srebro błyszczało na uprzęży. Lecz tylko Barondi niezwykłą powierzchownością, śmiałym a zarazem obojętnym wyrazem twarzy, zręcznością w powożeniu pociągał wszystkich oczy, i zatrzymał na sobie wzrok Isaacsona. Wstrzymał konie przed schodami, groom natychmiast zeskoczył, Barondi oddał mu lejce i wszedł na taras. Stanął rozglądając się spokojnie wkoło; zobaczywszy znajome francuskie towarzystwo, podniósł rękę do turbanu i przyłączył się do niego. Został powitany z widoczną radością. Dwie znajdujące się w tem towarzystwie panie, ślicznie ubrane paryżanki zrobiły mu miejsce między sobą. Kiedy siadł uśmiechnięty, Isaacson zauważył jego zrośnięte brwi i wspaniałą szyję.

— Kochany Isaacsonie! czy to możliwe? Mógłbym się prędzej spodziewać, że zobaczę Sfinksa na Clereland Square!

Wysoki, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna z marzącemi, inteligentnemi oczami stał przed nim i po serdecznem uściśnieniu ręki siadł obok.

— Starnworth, jesteś pan jednym z małej liczby ludzi—mógłbym raczej powiedzieć jedynym—którego rad widzę w tej chwili. Skąd pan wracasz, lub dokąd się wybierasz? Nie mogę przypuścić, że pozostajesz w Kairze.

— Nie. Byłem w Syryi, wracam właśnie z karawaną z Damaszku. Owszem, proszę o herbatę. Jutro, lub pojutrze wyruszam znowu z Mena-House na małą wycieczkę w pustynię.

— Małą! — Na wiele dni?

— Oh, nie wiem—rzekł niedbale nowoprzybyły. — Trzy tygodnie w jedną stronę, trzy w drugą, przypuszczam — chcę zwiedzić oazę, na której znajdują się jakieś nadzwyczajne ruiny. Lecz dlaczego pan jest tutaj? Co spowodowało, że pan opuścił swych niezliczonych pacyentów?

— Kaprys. — Odrzekł Isaacson po lekkiem wahaniu.

— Tam do dyabła! Czy mogą lekarze, używający takiej sławy pozwalać sobie na kaprysy?

Młody ten człowiek, Bazyli Starnworth był angielskim koczownikiem, który lata całe spędził na Złotym Wschodzie; mówił po arabsku wszystkimi dyalektami, czuł się swobodniejszym pośród beduinów niż wśród swych własnych braci i był kopalnią wiadomości o ludach Syryi, Egiptu, całej północnej Afryki — o ich namiętnościach, zwyczajach przesądach i różnych sposobach życia. Isaacson wyleczył go z febry, której nabawił się w jednej ze swych podróży. Tego wieczoru zjedli razem obiad, po którym Starnworth zabrał Isaacsona dla zwiedzenia tubylczej dzielnicy Kairu.

Było blizko jedenastej, kiedy Isaacson znalazł się w małej ciemnej kawiarni, ukrytej w jakimś zaułku Kairu. Dostali się do niej krętemi uliczkami—uliczkami, po których snuły się wymalowane damy, oświecone nikłem światłem umieszczonych u wejścia świec, zabarwionych na fioletowo, niebiesko lub czerwono. I w tych uliczkach zmieszane z ludzkim krzykiem, śmiechem, szeptem zaproszeń, odmowy lub przyjęcia odzywały się dźwięki muzyki piskliwej i nużącej, wyzywającej, a zarazem pełnej smutku, tego dziwnego smutku pustyni i tęsknoty wśród piasków.

Stary arab, który był „hadżi" przyniósł im kawy. Starnworth wyjął z kieszeni pudełko z tytoniem i zręcznie skręcił dwa papierosy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Miesiąc maj ma to do siebie, że poświęcony jest miłości i poezyi, nie nadaje się zaś w zupełności do prowadzenia polityki. W tym miesiącu tęsknie śpiewają słowiki, a cała przyroda jest tak usposobiona do miłosnych uniesień, że nawet, jak mawiał ongiś ś. p. Onufry Zagłoba „wiór do wióra czuje jakiś dziwny afekt“, któremu oprzeć się nie jest w stanie. A chyba przyzna każdy, że, jeśli kto, to właśnie pan Zagłoba dobrze znał życie i choć nie gardził ani winem, ani miodem, daleko trzeźwiej zapatrywał się na jego przejawy, niż niejeden z najzagorzalszych współczesnych abstynentów. I kronikarz powiedział też sobie, że nie zepsuje „majowego“ nastroju polityką, niestety, musi się sprzeniewierzyć swym „świętym“ zasadom, zmusza go bowiem do tego obecna sytuacya, bardzo poważna i naprężona. A uczyni to głównie z tego powodu, aby wykazać czarne na białem, że przecież miał racyę, gdy swojego czasu zwracał uwagę, iż sprawa górnośląska niemało nam jeszcze przysporzy kłopotu.

Słowa jego spełniły się nawet wcześniej, niż się można było spodziewać. Wynika z tego, że kronikarz jest politykiem nie najgorszym, że zaś jest dyplomatą, wykazał w poprzedniej kronice, potrafiąc skłonić Weronikę do pozostania przez lato w Krakowie. Argumenty trafnie użyte, potrafiły złamać jej upór, zdecydowała się zrezygnować z wyjazdu, aby pilnować wygasłego domowego ogniska i dobytku, który wprawdzie nie przedstawia zbyt wielkiej wartości, w każdym przecież razie w obecnym czasie gdy „antyki“ taki mają pokup, nie powinien być zostawiony na łaskę losu.

Maj zatem, jak się wyżej rzekło, do prowadzenia polityki się nie nadaje, wybaczą to jednak Czytelnicy, jeśli zważą, że do politykowania w maju zmuszają kronikarza ci, którzy polityką zajmują się zawodowo, więc chyba, tak przynajmniej mówi chłopski rozum, znać się na niej powinni i wiedzieć o tem czy się do niej opłaci zabierać w maju.

Już swojego czasu sparzył się na tem Bismarck, przekonując się, że jego „majowe ustawy“ nie prowadzą do celu, obecnie poszedł w jego ślady polityk nieco mniejszego kalibru pan Stanisław Grabski wybierając się zupełnie niefortunnie na obalenie ks. Sapiehy. Wotum nieufności, które acz zasłużenie otrzymał z łaski pana Stanisława Grabskiego nasz kierownik polityki zagranicznej, nie było w porę, co stwierdza nawet *Kuryerek* nie należący bynajmniej do przyjaciół pana Sapiehy, mający nawet już przygotowanego na jego miejsce swego własnego kandydata.

Czy uda się kronikarzowi „majowe“ politykowanie, to dopiero się pokaże w dalszym ciągu. Nawiasem przecież dodać musi na swoją obronę, że został do tego zmuszonym poważną sytuacyą, aby, broń Boże, nie posądził go ktoś o to, że ma zamiar ubiegać się o opróżniony fotel ministeryalny, z którego ustąpił ks. Sapieha i że niniejsza kronika jest pewnym rodzajem mowy kandydackiej, mającej nań zwrócić uwagę czynników miarodajnych, poszukujących na gwałt wybitnego polityka i zdolnego dyplomaty. Na wejście do gabinetu Witosa nie reflektuje już choćby z tego powodu, że dni jego są policzone, gdyż ludowcy mają zamiar oddać się obecnie całą duszą kampanii przedwyborczej, że zatem pan Witos rozpuści niebawem swych kolegów na zieloną trawę, następca zaś jego ma już z pewnością upatrzonych kandydatów na poszczególne teki. Rozsiadać się zaś na fotelu ministeryalnym i to tak niewygodnym jak zagraniczny, po to tylko, aby za jakiś tydzień lub dwa być zmuszonym do zrobienia komuś innemu miejsca, chyba się nie opłaci.

Kandydowanie kronikarza podoba się jedynie pani Weronice, która postanowiła w danym wypadku pójść w ślady pani Paderewskiej i towarzyszyć małżonkowi we wszystkich jego podróżach politycznych.

Niestety, skończy się tylko na jej pobożnych życzeniach, kronikarz nie ma bynajmniej zamiaru pchania zdrowej głowy pod ewangelię i naprawiania tych głupstw, które poprzednicy jego porobili.

A tak pięknie ułożył sobie porządek „miesięczny“ na maj. Pierwszy tydzień miały zająć obchody pierwszego, trzeciego i piątego maja, drugi odpust na Skałce i połączona z nim doroczna wycieczka na miodek „pod Krzyżyk“, trzeci Zielone Święta i Bielany, czwarty Boże Ciało, ostatni zaś bieg okrężny, urządzony przez redakcyę *Kuryera*.

Ani się spodziewał, że w maju trzeba się będzie zabrać do polityki i to polityki „na ciężki kamień“.

Zanim jednak da nurka w jej odmęty, jako Krakowianin z krwi i kości bodaj kilku słowami wspomnieć musi o Bielanach, gdzie sam wprawdzie nie był, miał jednak nieprzymuszoną wolę, aby się tam wybrać i pełną piersią odetchnąć świeżem powietrzem, słuchać śpiewu słowików i gry katarynek, podpatrywać gruchające pary i zebrać w ten sposób materyał do prawdziwie „majowej“ kroniki.

Kraków, jak zresztą corocznie i tego roku wybrał się tłumnie na Bielany, podążył tam drogą lądową i wodną. Komunikacya powietrzna nie została dotąd zaprowadzona, a to z powodu, aby nie odbiło się to na budżecie miejskim, czerpiącym przeważnie dochody z opłat akcyzowych. Dopóki i w powietrzu nie zostaną zaprowadzone rogatki, o rozwoju komunikacyi aeroplanami lub Zeppelinami mowy być nie może.

Mimo to znalazł się kronikarz na Bielanach, używszy drogi powietrznej, to jest myślą. Ciało jego spoczywało bowiem na wygniecionej kanapie pod rodzinnym dachem, duch zaś błąkał się po Bielanach przypominając sobie dawniejsze, młodsze lata, kiedy to na Srebrnej Górze przeżyło się niejedną bardzo miłą chwilę... Ten rodzaj podróży „drogą powietrzną“, ma ponadto i tę dobrą stronę, iż nic nie kosztuje, a chroni od zaziębienia i irytacyi, za jedno miejsce bowiem na „farce“ trzeba było zapłacić sto marek, a poczciwy nasz wiejski ludek uważał, że robi wielką łaskę „miejskim ciarachom“, wożąc ich, gdy tymczasem oni powinni być na usługach ludu, gdyż Polska jest chłopską, a nie pańską.

Od osób, które nie tylko duchem, ale i ciałem były na Bielanach, dowiaduje się kronikarz, że tegoroczne Zielone Święta udały się najzupełniej, widział zresztą sam niezliczoną moc Krakowian, wracających z wycieczki w bardzo podniosłym nastroju. Od automobilów, dorożek i furek, umajonych zielenią, aż się trzęsła ulica Zwierzyniecka, co pewien czas nadpływały parowce, przywożące setki wycieczkowców. Większość ich należała do klasy pracującej fizycznie, pracujący umysłowo nie mogli sobie pozwolić na podobny wydatek. Dowód to jasny, że Krakowianom pieniędzy nie brak, z drugiej strony świadczy to chlubnie o zastosowaniu się ściśle do nawoływań Hoovera, który wzywał do oszczędności. Łatwiej wydać choćby nawet i tysiąc marek za dostanie się na Bielany, niż narazić na zniszczenie swe buty, których podzelowanie kosztuje kilka tysięcy marek. Patrząc na tych wycieczkowców, doszedł kronikarz do smutnego przeświadczenia, że szeregi „gołej demokracyi“ przerzedzają się gwałtownie, a ewentualna kandydatura jego do Sejmu lub Rady miejskiej z ramienia tegoż stronnictwa spotkać się musi z poważnemi trudnościami. Choć „milionówki“ stale omijają Kraków, co drugi jego mieszkaniec, to milioner wojenny.

Czas jednak zabrać się do polityki, której kronikarz boi się, niczem dyabeł święconej wody. Tematem jego uwag będzie oczywiście sprawa górnośląska i stanowisko, jakie wobec niej zajął Lloyd George, znany nasz przyjaciel i obrońca. Już swojego czasu, gdy po nadejściu wiadomości o pierwszych wynikach plebiscytu zbyt głośno radowaliśmy się z odniesionego zwycięstwa, uważał kronikarz te manifestacye co najmniej za przedwczesne i przestrzegał, że dużo nas jeszcze z tego powodu może czekać kłopotów. I jak się dziś pokazuje, miał racyę. Z angielskiego worka wyłazi szydło niemieckie w całej swej ohydzie, a Lloyd George, który zawsze występował jako obrońca traktatu wersalskiego, stwierdza po raz nie pierwszy i zapewne nie po raz ostatni, że przyznaje mu na równi z Radkiem Sobelsohnem wartość zwykłego świstka papieru.

W mowie swojej, wygłoszonej w Izbie Gmin wylał pan Lloyd George na nas cały kubeł pomyj i udowodnił, że wiadomości jego historyczne i geograficzne, o ile one dotyczą Górnego Śląska, są bardzo błędne i niedokładne. Prezydent Witos, choć nie kończył studyów akademickich musiał prostować wynurzenia swego angielskiego kolegi, które podyktowało nie przeświadczenie o ich słuszności, lecz interes angielskich przemysłowców i handlarzy, którzy potrafili Lloyda George nastroić na swoją nutę. Według zapatrywań kierownika angielskiej polityki, Górny Śląsk chyba przed stworzeniem świata był polski. Leje on przy tej sposobności łzy krokodyle nad niewdzięcznością Polaków, którzy Anglii zawdzięczają swą wolność, a sprawiają jej ciągle kłopoty. Czy ma racyę, że Anglii zawdzięczamy wolność, nad tem wartoby się zastanowić poważniej, gdyż równocześnie i nowy kanclerz niemiecki dr. Wirth, złożył zupełnie podobne oświadczenie. Sami nawet nie wiedzieliśmy, że mamy tylu i takich dobrodziejów.

Z mowy Lloyda George wynika jasno, że Anglia jest za przyznaniem Niemcom najważniejszych obszarów Górnego Śląska, Polsce zaś radaby rzucić jakiś ochłap, byle jej zamknąć usta. Tak nakazuje interes angielski, a dziś on gra pierwszorzędną rolę. Dawniej było w modzie przysłowie „siła przed prawem“, dziś zastąpiło je „interes ponad wszystko“. Niemcy poczyniły wobec Anglii widocznie korzystne dla niej zobowiązania, a na to Lloyd George jest bardzo czuły, jak się o tem mieliśmy sposobność przekonać z jego konszachtów z sowieckim rządem rosyjskim, prowadzonych poza plecami innych członków Koalicyi. W dziwnem świetle występują także w sprawie górnośląskiej Włosi, którzy tyle razy ogłaszali się za naszych przyjaciół. Jeśli kto, to oni nie mają chyba powodu do narzekania na nas, a tymczasem postępują sobie wobec nas tak po szelmowsku, jak gdyby tu chodziło o zdeklarowanego ich wroga, jakim do niedawna byli Niemcy. Ale i tu interes wchodzi w drogę. Włosi znani są ze swojego artystycznego usposobienia, którem imponują całemu światu, ale i również ze swojego dziadowstwa budzącego ogólne politowanie. Pięknym głosem, jakim ich matka przyroda obdarzyła, łatwo im wyżebrać jakąś jałmużnę. Prawdopodobnie i oni otrzymali pewne obietnice i dlatego poszli na ich pasek. Czy wyjdą na tem dobrze, to dopiero przyszłość pokaże. Należy wątpić, gdyż w danym wypadku „trafił frant na franta“. Niemiec lubi obiecywać, nie myśli jednak o dotrzymaniu obietnic, jak to widzieliśmy przy podpisaniu traktatu wersalskiego.

Natomiast stanowisko Ameryki, która w sprawie górnośląskiej ma podobno zamiar pójść po linii niemieckiej jest trudne do zrozumienia. Ameryka nie potrzebuje się chyba liczyć z obietnicami Niemców i bez ich pomocy da sobie radę, najlepiej zrobiłaby zatem, gdyby w tym wypadku zachowała ścisłą neutralność. Skoro rząd Hardinga ogłosił się jako zwolennik doktryny Monroego „Ameryka dla Amerykanów“ i postanowił się do niej ściśle stosować, nie powinien też pchać nosa w sprawy europejskie, bo... „Europa dla Europejczyków“.

Z pomiędzy rządów koalicyjnych jedna jedyna Francya oświadczyła się za załatwieniem sprawy górnośląskiej w myśl słuszności i postanowień traktatu wersalskiego, choć nie tak dawno jak czytaliśmy głosy oburzenia w prasie francuskiej, skierowane przeciw niektórym z tamtejszych przemysłowców, objawiających życzenie, aby przy załatwieniu tej sprawy przypadkiem Niemców nie pokrzywdzono. Widocznie znaleźli Niemcy drogę nie tyle może do ich serc, ile raczej do ich kieszeni.

Wobec takiej sytuacyi nie pozostawało ludowi górnośląskiemu nic innego jak czynnie stwierdzić, że, wbrew twierdzeniom Lloyd George'a, był polskim i chce nim na zawsze pozostać. To się naturalnie nie mogło podobać panu Lloyd George'owi, gdyż krzyżowało jego plan i kombinacyę i w tem właśnie leży powód jego oburzenia przeciw Polsce. A Polska, jako państwo, winy żadnej w tem nie ponosi, na wybuch powstania na Górnym Śląsku bynajmniej nie wpływała, było ono samorzutnym odruchem rozpaczy miejscowej ludności. Lud śląski nie żąda nic więcej prócz słuszności i poszanowania traktatu wersalskiego, a tego mu nawet pan Lloyd George za złe wziąć nie może. Że przybrał stanowczą pozycyę i temu się dziwić nie można, bo dziś tylko w ten sposób można coś uzyskać, gdy natomiast pokornie proszącego zbywa się zwykle niczem. Podziałało to już na Lloyd George'a, który zrozumiał, że poszedł za daleko, żałuje, że się przedwcześnie niepotrzebnie wygadał i zaczyna się cofać, tłómacząc, iż go źle zrozumiano, gdyż on nie tak myślał jak mówił. A pod tym względem jest on prawdziwym mistrzem, potrafi „kota obrócić do góry ogonem“ i z czarnego zrobić białe lub odwrotnie, zależnie od tego, jak wymaga interes jego i jego przyjaciół.

Dyplomacya nasza ponosi w tym wypadku pewną winę, gdyż nie potrafiła zapobiedz tym machinacyom angielsko-niemieckim, słusznie też minister Sapieha spotkał się z wyrazami nieufności. Kronikarz nie ma bynajmniej zamiaru ubiegania się w tych warunkach o spuściznę po nim, zwłaszcza, że fotel ministra spraw zagranicznych jest dość niewygodny, jeśli się zważy, iż oprócz „sprężyny“ niemieckiej dają się we znaki bolszewicka, czeska, ukraińska itd. Raczej, gdyby go koniecznie chciano zrobić ministrem, kompetowałby o portfel aprowizacyi lub pracy, które również wakują. Aprowizacya w dzisiejszych warunkach ma do zwalczania zbyt wiele trudności, fotel ten nie uśmiecha się zatem zbytnio kronikarzowi. Czegóż jednak nie zrobi kochany mąż, aby zadowolić swą lepszą połowę. Aby Weronika była ministrową, gotów jest podjąć się nawet wygłodzenia Polski. Ponętniejszym już jest fotel pracy, gdyż u nas panuje tendencya, by nią zbytnio ludności nie przeciążać, zatem i minister pracy nie wiele musi mieć do roboty.

Włoski nietakt polityczny.

Stanowisko Włoch względem Polski musi być uważane, co najmniej, za bardzo dziwne. Z jednej strony podnosi prasa włoska stare sympatye, jakie wiążą naród włoski z polskim, z drugiej natomiast, postępowanie rządu włoskiego sprzeciwia się stale tym głosom. Już od pierwszej chwili powstania nieporozumień polsko niemieckich w sprawie Górnego Śląska, to jest od chwili podpisania traktatu wersalskiego, Włochy występowały stale po stronie Niemiec, z któremi chyba nic wiązać je nie powinno, ostatnie zaś wypadki na Górnym Śląsku stwierdziły aż nazbyt jaskrawo ich germanofilizm. Żołnierze włoscy, stanowiący na Górnym Śląsku część załogi międzynarodowej, wystąpili czynnie w chwili wybuchu powstania obecnego po stronie niemieckiej, choć zobowiązani byli do przestrzegania ścisłej neutralności. Następstwem tego czynnego wmięszania się w wir wypadków górnośląskich były ofiary w ludziach, którzy polegli lub zostali zranieni.

W ścisłym związku z temi pożałowania godnemi zajściami stoi dymisya obecnego naszego podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych, upełnomocnionego ministra i posła pierwszej klasy, Erazma Piltza, o której w lakonicznych słowach doniosła nasza agencya telegraficzna P. A. T. Według informacyi prasy warszawskiej nastąpiło to na kategoryczne żądanie włoskiego *charge d'affaires*,



Włoski nietakt polityczny: Podsekretarz stanu, min. spr. zagr. Erazm Piltz.

pana Modico di San Giovanni, który wystąpił w imieniu rządu włoskiego, obrażonego wynurzeniami pana Piltza, skierowanemi do korespondenta *Journal de Pologne* i powtórzonemi przez to pismo. Pan Piltz miał się wyrazić, iż „żołnierze włoscy niepotrzebnie zaangażowali się w rozbrajaniu powstańców polskich na Górnym Śląsku i ponieśli wskutek tego straty w zabitych i rannych". Włoski przedstawiciel zwrócił się w tej sprawie do prezydenta Witosa, żądając natychmiastowej dymisyi ministra Piltza i nie powierzania mu na przyszłość jakiegokolwiek politycznego mandatu. Żądanie to przedstawił prezydent Witos na radzie ministrów, a minister Piltz wniósł podanie o dymisyę. Gdy jednakowoż odnośny akt przedłożono do aprobaty i podpisu ministrowi spraw zagranicznych ks. Sapiesze, z którym się w tej kwestyi nie porozumiano, ten kategorycznie odmówił.

Opinia publiczna w całej Polsce, a także w kołach przedstawicieli zagranicy w Warszawie poruszoną została bardzo żywo tym krokiem włoskiej dyplomacyi, przypominającym bardzo postępowanie rządu rosyjskiego wobec Polski w czasach rozbiorowych, niemniej jednak i niezrozumiałą, a zbyt daleko posuniętą ustępliwość warszawskich sfer kierujących, które zaniedbały zażądać przedtem wyjaśnienia w tej sprawie od przedstawiciela Polski przy Kwirynale, p. Skirmunta, czy w samej rzeczy pan Modico di San Giovanni występował na polecenie włoskiego ministra spraw zagranicznych, czy też działał na swoją rękę.

Tak, czy owak, wystąpienie Włoch z podobnem żądaniem pod adresem Polski jest grubym nietaktem politycznym, dziwnie też brzmią telegramy, donoszące, że straty swoje na Górnym Śląsku obliczyli Włosi na siedem milionów lirów, które ma zapłacić Polska, choć w ruchu powstańczym żadnego udziału nie bierze, a nawet z powodu smutnych zajść złożyła oficyalną kondolencyę rządowi włoskiemu.

Hołd „Orlętom" poległym na polach Zadwórza.

W pierwszym dniu Zielonych Świąt oddał Lwów należny hołd pamięci młodych bohaterów, którzy rok temu w czasie sierpniowej inwazyi bolszewiżący dalszą ulewą, lecz ci, co spełnić postanowili obowiązek serca, nie zawahali się porzucić świątecznych przyjemności w mieście i ruszyli na pielgrzymkę. Lwów nie może zapominać o swoich najdroższych dzieciach bohaterach, którzy piersiami



Hołd „Orlętom" poległym na polach Zadwórza: Pochód do kurhanu usypanego na miejscu walk sierpniowych.

ckiej stawili mężnie czoło najeźdźcy i męczeńską swą śmiercią i poświęceniem wprawili w podziw swoich i wrogów. Bohaterski ich wysiłek uratował wówczas Lwów, wdzięczne społeczeństwo nie zapomniało też o usługach, jakie ci młodociani obrońcy oddali sprawie narodowej. Na polach Zadwórza usypano potężny kurhan, kryjący szczątki bohaterów i poświęcony ich pamięci. Będzie on po wieczne czasy celem pielgrzymek dla Lwowian i ludu okolicznego, którzy rok rocznie będą tu spieszyć, aby oddać cześć pamięci tych, którzy życie swe złożyli w obronie zagrożonej Ojczyzny.

Tegoroczną pielgrzymkę Lwowian na miejsce, gdzie się przelało tyle męczeńskiej krwi naszych dzielnych „Orląt", opisuje w barwny sposób korespondent „Kuryera lwowskiego" A. Lech:

„Bieleje już zdala wysoki kurhan na polach Zadwórza, krwią młodych orląt, dzieci lwowskich obficie zroszony w sierpniowych dniach grozy bolszewickiej, zielonej trawy wieniec u stóp jego wyrasta, pośrodku krzyż drewniany, symbol męki i dwa krzyże małe, niby straż niema a potężna. Na krańcach kurhanu, wokół, jak okiem sięgniesz, ruń zielona zbóż bujnie na krwi młodzieńczej podłożu wyrosła i łańcuch siwych lasów i wzgórz swojemi mur ochronny, niepokonany, ustawili przed jego bramami w chwili najkrytyczniejszej i życiem swojem młodem zagrodzili drogę dzikim najeźdźcom.

Ruszył z dworca kolejowego duży, specyalny pociąg, a wśród uczestników pielgrzymki garstka tych, co na polach zadwórniańskich cudem ocaleni, a sporo też rodziców i rodzeństwa tych, co snem spokojnych śpią pod kurhanem zadwórniańskim.

Przed godziną 10-tą zaroiło się na plantach, prowadzących ze stacyi w Zadwórzu do kurhanu, tuż przy torze kolejowym od strony północnej usypanego, w pobliżu strażniczego domku, którego mury w dniach krytycznych krwią były zbryzgane od dołu aż po dach.

Przez ciężką oponę nieba przebijało się słońce właśnie w chwili, gdy na czarnej, błotnistej drodze od wsi, zarysował się długi łańcuch, zwolna się posuwający ku mogile. Echo starej pieśni „Boże coś Polskę", granej na trąbkach kawaleryi biegło z tej strony, potem wyraźniej odróżniać można było białe i purpurowe barwy chorągwi kościelnych, ostrza karabinów i lanc. To pochód od kościółka z Zadwórza. Na czele procesya z miejscowym proboszczem ks. Zarembą i kanonikiem kapituły lwowskiej ks. Głąbem i chmara ludu wiejskiego i dziatwy z pod strzechy;



Hołd „Orlętom" poległym na polach Zadwórza: P. Garbień kreśli wobec uczestników obchodu przebieg walk zeszłorocznych.

na dalekim horyzoncie. Przepiękny to, a zarazem do głębi duszy wstrząsający obraz na polach zadwórniańskich.

Pielgrzymkę na kurhan zadwórniański w niedzielę Zielonych Świątek, sokolstwo lwowskie zainicyowało, by hołd oddać bohaterom i złożyć wieńce, jako widomy znak tego hołdu na wspólnej, olbrzymiej, jakich w Polsce całej niemało, mogile.

Po nocnej ulewie wstał ranek chmurny, grolud bez różnicy wyznania polski i ruski społem pod chorągwiami kościelnemi, za nim pod komendą podp. Kochańskiego oddział saperów, który przy pomocy ludu okolicznego sypali kurhan i straż przy nim trzymają. A dalej kawalerya nasza, wymarzona w snach całych pokoleń kawalerya polska. Na szpakach orkiestra, a za nią jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty rząd kawalerzystów 5 pułku ułanów pod komendą rotm. Baranowskiego. Rżą

rumaki, a z pod kopyt rozsypują się wokół ciężkie grudy błotnistej ziemi. Wreszcie majestatycznie posuwa się I. dywizya konnej artyleryi z majorem Surmackim na czele.

Na odłogiem leżących gruntach miejscowego parocha, po przeciwnej stronie kurhanu ołtarz polowy ustawiono, świeżo ścięte z pnia macierzystego świerki zdobiły go z trzech stron. Tu odbyła się msza, odprawiona przez ks. kan. Głąba i dalsza uroczystość, bo na świeżym kurhanie nie można było gromadzić tych mnogich rzesz, jakie nie tylko ze Lwowa, ale i z okolicznych miejscowości przybyły. W pobliżu ołtarza ustawił się oddziałek byłych żołnierzy z grupy Abrahama, bractwo z chorągwiami, liczny zastęp sokolstwa ze sztandarem, oddział ochotniczej straży pożarnej „Sokół" ze Lwowa, delegacya Tow. dziennikarzy polskich, delegacya „Gwiazdy", Związku kolejarzy, Związku handlowców polskich, chór Tow. „Bard", orkiestra 5 pułku ułanów i tysiączne rzesze ludu miejskiego wszystkich warstw, ziemiaństwo i włościanie. Zdala na błoniu rzędem stanęła kawalerya. artylerya i sapery. Modlitwę kapłana przeplatały dźwięki orkiestry i pieśni chóru drużyny „Bard", a najmilej świergot Bożych śpiewaków, skowronków, unoszących się nad ołtarzem Pańskim i szarą masą uczestników uroczystości. I niebo wypogodziło się na tę niezwykłą chwilę na polach zadwórniańskich i jasne promienie słońca ozłociły pola i piękny wiosenny krajobraz.

Po mszy przemówił ze stopni ołtarza prezes Sokoła-Macierzy dr. Borowiec. Wspomniał te ciężkie chwile, jakie Polska roku ubiegłego przeżyła, te zmagania i ten zapał, jaki ogarnął cały naród polski dla sprawy i o tych zastępach ochotników, którzy poszli bronić kresowej ziemi Rzeczypospolitej i o tej krwi ofiarnej, którą młódź szlachetna polała w obronie Lwowa i całej wschodniej ziemicy Małopolski. Potem hołd bohaterom w gorących słowach oddał i zaznaczył, że ziemi tej, tak obficie krwią bohaterów zlanej — na której usypano tyle mogił bohaterów, do mogiły zadwórniańskiej podobnych, nigdy naród polski nie ustąpi. Jeszcze pieśń „Boże coś Polskę" i mocnej „Roty" słowa rozbrzmiały, przepiękną brawurową szarżę na błoniach kawalerya sprezentowała i zakończono uroczystość przed ołtarzem.

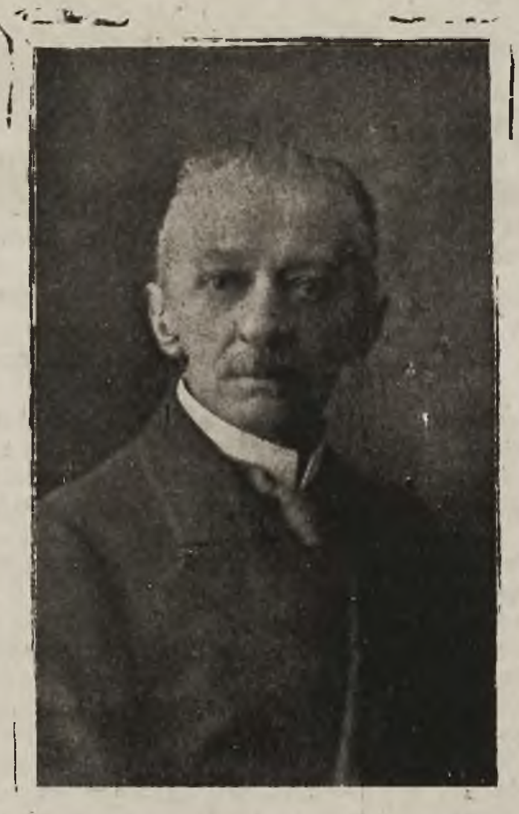
Tłum uczestników zwolna przeszedł na planty kolejowe — rozsiadły się tu rzesze ludzkie i przypatrywały się defiladzie wojska, wznosząc na jego cześć okrzyki. Potem w pobliżu wspomnianego wyżej domku budnika b. kapitan i adjutant brygadyera Mączyńskiego p. Garbień, przedstawił obszernie plan bitwy, stoczonej na polach zadwórniańskich. Przed oczami słuchaczy odsłoniła się krwawa karta sierpniowej nocy ubiegłego roku, myśli biegły ku wielkim duchom tych, którzy otoczeni ze wszystkich stron przez niezliczone watahy bolszewickie, bronili się do ostatniej kropli krwi i nie splamili honoru żołnierskiego. Teraz na mogile ich złożyli imieniem rodaków wieńce delegaci sokolich gniazd, Związku kolejarzy, 5 pułku ułanów i ludu spracowane dłonie. W zieleni, w białych kartkach z tysiącami nazwisk rodaków i w kwieciu tych wieńców na kurhanie zadwórniańskim w niedzielę Zielonych Świątek złożonych, ziewają się uczucia pamięci niewygasłej, hołdu i wdzięczności całego narodu.

Mogiła bohaterów zadwórniańskich walk, będzie po wieczne czasy strażnikiem polskiej kresowej ziemi, niezapomnianą będzie po wieczne czasy przez pokolenia potężnej i niezwyciężonej już nigdy Polski.

Zgon polskiego historyka.

W Warszawie zmarł 17 maja, przebywający u swego syna lekarza, dr August Sokołowski. Była to postać zżyta z Krakowem. Przeszło 50 lat w nim stale mieszkał, a opuścił go dopiero przed pół rokiem, kiedy zwątlone siły wymagały synowskiej lekarskiej opieki.

Urodzony w r. 1846, zmarły, wkrótce po ukończeniu Uniwersytetu krakowskiego, został profesorem w gimnazyum św. Anny i habilitował się na docenta historyi. W r. 1873 wyszła pierwsza osobno wydana jego praca o Konradzie Mazowieckim



Zgon polskiego historyka: S. p. dr. August Sokołowski.

i zakonie krzyżackim. Druga jego rozprawa historyczna „Elekcya czeska" ukazała się w roku 1476 w sprawozdaniu Akademii Umiejętności, która młodego historyka zaprzęgnęła do pracy wydawniczej aktów historycznych. Pod kierunkiem Szujskiego przygotował do druku Listy Jerzego Zbaraskiego, Archiwum domu Radziwiłłów, Dyaryusze sejmowe r. 1587, „Codex epistolaris saeculi decimi quinti". Zrezygnowawszy z docentury, przerzucił się Sokołowski na pole publicystyki i wstąpił do redakcyi Nowej Reformy. Wybrany wraz z Weiglem, jako kandydat stronnictwa demokratycznego, posłem do parlamentu, przez sześć lat spełniał funkcye poselskie. Z powodu wynikłej różnicy zapatrywań między nim a kierownikami stronnictwa demokratycznego, mandatu na dalszą kadencyę nie otrzymał. Zbliżył się do konserwatystów i został odtąd wiernym ich kierunkowi politycznemu.

Imię jego stało się znanem przeważnie dzięki popularno-naukowym pracom historycznym. Dla nakładcy wiedeńskiego Perlesa napisał ze współudziałem Inlendera trzytomową „Historyę Polski". Wydanie wspaniale ilustrowane rozeszło się szeroko, również jak i jego dopełnienie: Historya porozbiorowa. Później do pięknego wydawnictwa Bondego „Powstania polskie" napisał dzieje powstania 1831 i 1863 r. (historya powstania Kościuszkowskiego wyszła w tem wydawnictwie z pod pióra K. Bartoszewicza). Wyszły też jego popularne broszury o Sejmie czteroletnim, o r. 1912. Do wydawnictwa Macierzy „Polska, obrazy i opisy", napisał Historyę polityczną Polski.

Największą wartość posiadają jego prace z lat ostatnich: „Jenerał Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników i korespondencyi" (1914) i „Wyprawa Dwernickiego na Wołyń", umieszczona w rozprawach wydz. histor. Akademii (1917).

Przy przejściu na emeryturę otrzymał tytuł radcy szkolnego. Pełnił następnie obowiązki dyrektora jednego z żeńskich zakładów naukowych.

Wybrany po śmierci Bałuckiego prezesem Koła artystyczno-literackiego, kierował niem w ostatnich latach odrębnego życia tej instytucyi, — po zlaniu się z Klubem prawników był również parokrotnie prezesem połączonych towarzystw.

Do ostatnich dni prawie był nadzwyczaj czynny i pracowity. Mógł służyć pod każdym względem za przykład korzystającym zbyt dosłownie z „dobrze zasłużonego spoczynku".

Z pierwszego małżeństwa pozostawił dwóch synów. Przed dwoma laty stracił córkę ś. p. Cybulską.

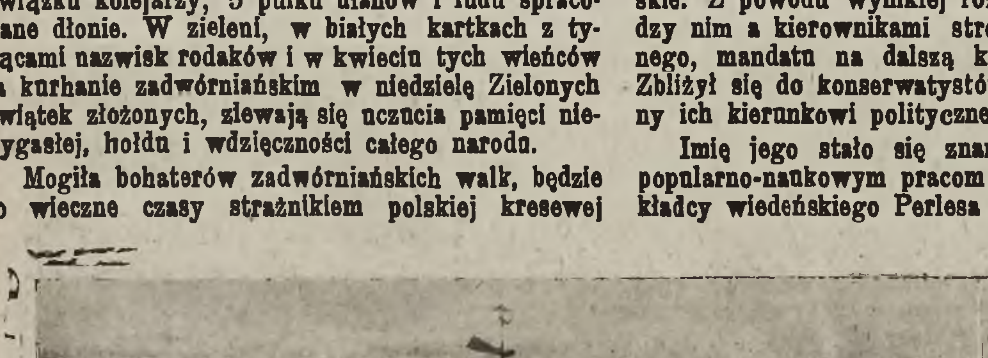
Polityczna podróż japońskiego następcy tronu.

Nowoczesna Japonia zaczyna się coraz bardziej modernizować. Dowodem tego podróż do Europy

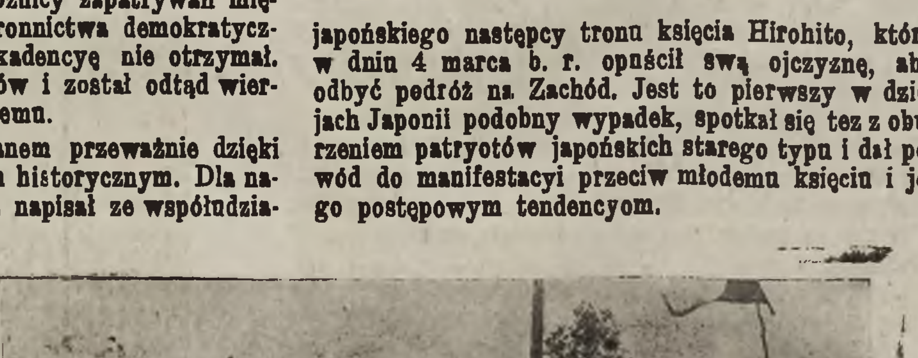


Polityczna podróż japońskiego następcy tronu: Król Jerzy V. i książę Hirohito w drodze do pałacu Buckinghan w Londynie.

japońskiego następcy tronu księcia Hirohito, który w dniu 4 marca b. r. opuścił swą ojczyznę, aby odbyć podróż na Zachód. Jest to pierwszy w dziejach Japonii podobny wypadek, spotkał się też z oburzeniem patryotów japońskich starego typu i dał powód do manifestacyi przeciw młodemu księciu i jego postępowym tendencyom.



Hołd „Orlętom" poległym na polach Zadwórza: Uczestnicy walk zeszłorocznych z grupy majora Abrahama.



Członkowie Tow. śpiewackiego „Bard" biorący udział w uroczystości.

Książę Hirohito, liczący lat dwadzieścia, najstarszy z czterech synów obecnego Mikada, jest Japończykiem nowego pokroju. Wychowany w tradycyach japońskich, przypomina pod wielu względami swego wielkiego dziada, cesarza Mutsuhito, twórcę potęgi współczesnej Japonii, nie są mu przecież obce i nowoczesne prądy. Zajmuje się bardzo żywo wszelkimi przejawami życia społecznego, nie jest mu obcą europejska kultura, interesuje się sztuką, szkolnictwem, przemysłem, jednem słowem łączy w sobie przymioty dawnego Japończyka i postępowego syna Zachodu. I to właśnie nie podoba się konserwatystom japońskim, którzy widocznie nie zbyt cenią europejską kulturę.

Młody książę w towarzystwie wicehrabiego Hindy obrał drogę na Indye, Egipt, Maltę, Gibraltar i w dniu 9 maja b. r. wylądował na ziemi angielskiej. Po drodze zwiedził osobliwości, żywo się wszystkiem interesując, wielkie wrażenie wywarły nań zwłaszcza historyczne pamiątki Egiptu, które oglądał w towarzystwie tamtejszego „wysokiego komisarza“ angielskiego, marszałka Allenby.

W Portsmouth, dokąd zawinął japoński okręt *Katori*, zgotowano gościowi owacyjne przyjęcie, toż samo i w Londynie, gdzie zamieszkał w pałacu Buckingham. Wziął w niem udział król Jerzy w uniformie wielkiego admirała, książęta York i Connaught oraz przedstawiciele najwyższych sfer narodowych i społecznych. Po odwiedzeniu królowej Aleksandry książę Hirohito udał się do opactwa Westminsterskiego, gdzie złożył wieniec na grobie „nieznanego żołnierza“. Przy zwiedzaniu Windsoru towarzyszył japońskiemu gościowi książę Walii. Tu złożył wieniec na grobach królowej Wiktoryi i króla Edwarda. Również i Lloyd George przyjmował księcia Hirohito w swej posiadłości. Z okazyi pobytu egzotycznego gościa odbył się cały szereg uroczystości, podczas których wygłoszono polityczne toasty i przemówienia, w których podkreślano bardzo wyraźnie żywą „sympatyę“, jaka łączy oba narody.



Polityczna podróż japońskiego następcy tronu: Książę Hirohito podczas zwiedzania osobliwości Egiptu.

Z Anglii udaje się książę Hirohito do Francyi, gdzie zwiedzi najważniejsze pobojowiska i linię frontu wielkiej wojny, stąd zaś we wrześniu powróci do Japonii. Po powrocie do kraju wstąpi w związki małżeńskie z księżniczką Nagako, która wprawdzie nie należy do pięciu rodzin uprzywilejowanych, w których członkowie domu panującego wybierają dla siebie żony, jest jednak tak piękną, iż potrafiła zdobyć serce przyszłego władcy Japonii. I pod tym względem sprzeniewierzył się książę Hirohito starojapońskim tradycyom.

Podróż japońskiego księcia do Europy ma niewątpliwie wielkie polityczne znaczenie. Już sam jej kierunek, dłuższy pobyt w Anglii i przyjęcie, z jakiem się tam spotkał, świadczą, że rządowi wielkobrytańskiemu zależy bardzo na przyjaźni z Japonią. W chwili, gdy Francya stara się o nawiązanie przyjaznych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, głośne objawy sympatyi angielsko-japońskich uważane być muszą za ich przeciwwagę i dowodzą, że i w łonie samej Koalicyi nurtują prądy, nie zawsze płynące w jednym i tym samym kierunku. Własny interes wybija się zawsze na pierwsze miejsce i szuka dla siebie jak najpewniejszych punktów oparcia.

Jubileusz zasłużonego kapelmistrza.

W tych dniach obchodzi dwudziestopięciolecie swej artystycznej i zawodowej pracy znany zwłaszcza we Lwowie kapelmistrz byłej „Harmonii“, po jej rozwiązaniu zaś założyciel i kierownik tamtejszej „Kapeli narodowej“, M. Martyński. W obu tych organizacyach artystycznych niestrudzona praca i zamiłowanie muzyki, których tyle złożył dowodów, wydały bardzo piękne owoce, M. Martyński zaś zyskał sobie szerokie uznanie, jako jeden z najlepszych kapelmistrzów. Tak „Harmonia“, jak i „Kapela narodowa“ stały się pod jego kierownictwem szkołą, z której wyszedł cały szereg doskonałych muzyków. Rozprószeni po całym kraju weszli oni w skład orkiestr tak cywilnych jak i wojskowych, wyszkolenie swe zawdzięczając utalentowanemu i całem sercem oddanemu muzyce kierownikowi.

„Kapela narodowa“ założona przez M. Martyńskiego, znaną była nie tylko we Lwowie. Barwne mundury narodowe ułanów ks. Poniatowskiego, wbiły się żywo w pamięć mieszkańców Wschodniej Galicyi, którzy spotykali się z nią przy wszystkich niemal zlotach sokolich, obchodach narodowych i t. p. Poza tem organizował M. Martyński liczne orkiestry cywilne jak: gimnazyalną we Lwowie, robotniczą we Lwowie, ostatnio zaś orkiestrę wojskową 46 p. p. w Samborze, przy której obecnie pełni funkcyę kapelmistrza.

W dziedzinie polskiej muzyki orkiestralnej zdobył sobie M. Martyński jedno z poczestniejszych miejsc, ze sposobności skorzysta też niewątpliwie liczne grono jego przyjaciół, uczniów i zwolenników, aby w dniu ćwierćwiekowego jubileuszu złożyć mu życzenia dalszej, równie skutecznej i owocnej pracy budzenia ducha muzykalnego w najszerszych sferach naszego społeczeństwa.



Jubileusz zasłużonego kapelmistrza: M. Martyński kapelmistrz 46 pułku piech. w Samborze, organizator lwowskiej Kapeli Narodowej.

Nasi „milusińscy“ jako artyści dramatyczni.

Nowoczesne wychowanie weszło na tory zupełnie odmienne od tych, które uznawane były u nas jako jedynie dopuszczalne, lat temu wstecz najwyżej jeszcze dwadzieścia. Ówczesna pedagogia kładła cały nacisk na wykształcenie książkowe, o nic więcej się nie troszcząc. Były to przeżytki epoki scholastycznej, uważającej za alfę i omegę swej działalności kształcenie ducha, a zapominającej o tem, że i ciało ma swoje prawa, a silny duch może tkwić tylko w zdrowem ciele. Za przykładem zagranicy rozpoczęto też dokładać starań do równoczesnego kształcenia ducha i ciała i w tym celu w monotonię dotychczasowego systemu szkolnego wprowadzono cały szereg urozmaiceń, potępianych dotąd przez starsze pokolenie. Należą tu między innemi zabawy i gry ruchowe, na które położono główny nacisk, jako na konieczny warunek zdrowia, urządzanie koncertów i przedstawień teatralnych, rozwijających ciało i inteligencyę równocześnie ducha. Zwłaszcza widowiska sceniczne, odpowiednio dobrane, stanowią bardzo dzielny czynnik wychowawczy, cieszący się wielkiem uznaniem szczególnie w gronie samej młodzieży. Prócz swego pedagogicznego znaczenia, mają one i tę jeszcze dodatnią stronę, iż przysposabiają młodzież do przyszłego życia, ucząc ją choćby w tak skromny, a jednak nieraz bardzo wydatny sposób spieszyć z pomocą potrzebującym. Dochód z takiego przedstawienia, urządzonego staraniem i siłami młodzieży, nieraz poważnie już zasilił fundusze rozmaitych instytucyi humanitarnych, a młodym wykonawcom dał pełne zadowolenie, że przyłożyli rękę do szlachetnego dzieła.

W ostatnich czasach urządzono we Lwowie podobne przedstawienie teatralne, którego dochód przeznaczono na cele Bursy rzemieślniczej im. św. Stanisława Kostki. W sali „Domu katolickiego“ odegrali uczniowie i uczenice prywatnej szkoły H. Makowieckiej „Baśń o królowej Róży“. Całość, dzięki umiejętnemu i sumiennemu przygotowaniu, a zarazem pilności „małych artystów“ wypadła doskonale i pozostanie na długo w pamięci tak widzów, jak i wykonawców.



Nasi „milusińscy“ jako artyści dramatyczni: Dzieci ze szkoły p. Makowieckiej przed odegraniem „Baśni o królowej Róży“.

Od Redakcyi.

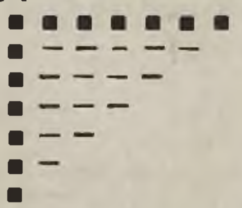
Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Lis, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwisko francuskiego polityka:

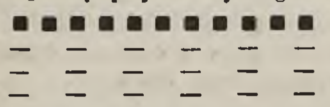


Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Powieściopisarz francuski, 4. Duchowny mahometański, 5. Port nad Bałtykiem, 6 Litera grecka, 7. Samogłoska.

Grzebieniówka.

Ułożyła Wanda Nowotarska, Jarosław.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy imię i przydomek jednego z królów polskich:



Znaczenie wyrazów: 1. Część świata, 2. Litera grecka, 3 Dopływ Wisły, 4. Miara odległości, 5. Znany metal, 6. Angielska miara długości.

REBUS:



Tajemniczy napis.

Ułożył Archeolog z Kłaja.

Na jednym z budynków znaleziono następujący napis, nad którego odcyfrowaniem silą się nasi uczeni:

C... ze mcha .. ta... Boga... tate... mra... da.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza: „Rodzina Połanieckich" (powieść); 2) Kalendarz familijny na rok 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 19

Zadanie do uzupełnienia: Kola, Omar, noga, Soła, toga, York, Tuła, Ural, oyna, yard, agat.

Kryształówka: Mer, San, Rej.

Zadanie na rozsypane litery: Trzeci Maj.

Rebus: Kopia obrazu nigdy nie dorówna oryginałowi.

Zgłoskówka: Konstytucya Trzeciego Maja.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Roth Biała, W. Dutkiewicz Przemyśl, H. Malinowski Warszawa, M. Lisowski Stanisławów, K. Kozłowski Sandomierz, W. Teodorowicz Warszawa, J. Bielawski Rzeszów, J. Jabłoński Lublin, Z. Zawadzki Warszawa, S. Piekarski Poznań, J. Martynowicz Sandomierz, E. Gugulski Jędrzejów, M. Kubicówna Kraków, J. Cześnikiewicz Kraków, Z. Stolarski Poznań, K. Zieliński Zalesie, M. Ostrowska Lwów, S. Sadowski Warszawa, S. Zajączkowski Rzeszów, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, M. Brandys Kraków, S Sygowska Rzeszów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, H. Malczewska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, H. Boratyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Grabowski Wadowice.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Roth Biała (powieść), 2) Z. Stolarski Poznań kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.